

JEDNODNIÓWKA



LOTNICTWA POLSKIEGO
W ANGLII

B Ł O G O Ś Ł A W I E N I

Błogosławieni, którzy w czasie gromów

Nie utracili równowagi ducha,

Którym na widok spustoszeń i złomów

Nie płynie z serca pieśń rozpaczny głucha.

Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni

Nie tracą wiary w blask rannych promieni,

Błogosławieni.

/Jan Kasprowicz/



GENERAŁ DYWIZII SIKORSKI WŁADYSŁAW
NACZELNY WÓDZ

W I M I E N I U Ż O Ł N I E R Z Y

Na pierwszych kartkach naszej "Jednodniówki" pragnę wyjaśnić, jak doszło do jej wydania, jaki był jej cel a wreszcie w Imieniu Żołnierzy dać wyraz pewnym myślom i uczuciom, które wszystkim nam są w tej chwili wspólne.

Przede wszystkim jak doszło do wydania "Jednodniówki": Oto kilku młodych ludzi dobrej woli powzięło myśl zebrania w formie pisanej i kreślonej tego, o czym codziennie mówimy, co przeżywamy. Wkrótce zaczął napływać materiał w postaci artykułów, wierszy, rysunków. Znalazł się dobry organizator, zebrał to w całość i oto nasza "Jednodniówka" gotowa.

Jestem przekonany, że dla każdego z nas będzie ona jedną z najcenniejszych pamiątek i odświeżeniem wspomnień, związanych z naszym pobytem i pracą na ziemi angielskiej.

Pierwotnie zamierzano ją wydać z okazji przyjazdu do nas Dowódcy Sił Powietrznych, Pana Generała Brygady Dra Zajęca Józefa. Niestety nie zdążyliśmy wzbogacić nią tej pierwszej miłej uroczystości, jaką przeżywaliśmy w związku z wizytą Dowódcy Sił Powietrznych.

Dziś jesteśmy w przededniu przybycia do nas Naczelnego Wodza. Zapowiedź ta napawa nas wielką radością i dumą. Jesteśmy szczęśliwi, że danym nam będzie spojrzeć w oblicze Najwyższego Dowódcy, że mamy możliwość chociaż na obcej ziemi - lecz sojuszniczej ziemi - zameldowania naszej gotowości do każdego zadania, jakie będziemy wykonywać pod Jego rozkazami.

Wydanie "Jednodniówki" daje nam również okazję do pewnego rodzaju rozliczenia się z dotychczas zaciągniętych długów wdzięczności względem naszych gospodarzy - do skromnego wyrażenia im naszej wdzięczności - chciałbym więc w imieniu wszystkich Żołnierzy Centrum Lotnictwa Polskiego w Anglii oddać naszym Gospodarzom sprawiedliwie co im się od nas należy.

Jest moją miłą i lojalną powinnością ze szczególnym uznaniem podkreślić osobę Group Captaina A.P.DAVIDSONA. Zapoznał się On z naszym krajem bezpośrednio przed wojną i był naczynym świadkiem naszej tragedii - poczynając od bombardowania Warszawy i Okęcia, które zwiedzał bezpośrednio po bombar-

dowaniu. Być może, na tle naszej tragedii zrodził się Jego specjalny sentyment dla Polski i jej lotnictwa. Robił ogromnie dużo by nam pomóc jeszcze w Polsce, dziś wkłada cały swój wysiłek i całe serce, byśmy w możliwie najlepszych warunkach mogli znów zorganizować się i wystąpić przeciw wspólnemu naszemu wrogowi. Grupę pierwszych oficerów i żołnierzy przybyłych na teren Anglii powitał osobiście chlebem, solą i serdecznymi słowami i nadal z niegasnącym zapałem i sentymentem usuwa wszelkie przeszkody i walczy o jaknajlepsze warunki naszego pobytu, szkolenia i pracy. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie serdeczniejszego i gorliwszego opiekuna i bojownika o sprawy polskiego lotnictwa na terenie Anglii.

W miarę jak wzrasta nasza ilość, przysparzamy Mu coraz to więcej kłopotów, czasami nawet przykrości - nic Go jednak nie zraża - wierzy w to, że zrobi dla nas tyle ile tylko będzie możliwe. To też wszyscy mamy dla Niego wiele serca i sympatii.

Drugim Anglikiem oddanym całym sercem polskiej sprawie jest Squadron Leader F.T.EADES, D.F.C. Oficer ten zna stację, w której przebywamy, prawie od chwili jej zbudowania - jest godnym zastępcą Komendanta. By rozerwać nas w chwilach wolnych od zajęć organizuje wszelkiego rodzaju miłe rozrywki jak kina, koncerty, zawody. Pokrzepia nas na duchu, z oczu Jego bije sentyment do nas nie tylko wtedy, gdy nam jest dobrze razem, lecz również wtedy, gdy ma z nami moc kłopotów.

Nie jesteśmy w stanie zapomnieć Mu jego pięknego gestu - kiedy to w dniu przyjazdu na stację naszego Dowódcy Sił Powietrznych - sam objął dowództwo angielskiego plutonu honorowego, by tym uroczyściej wypadło powitanie naszego generała i podniesienie naszej flagi.

Trudno jest pisać o wszystkich oficerach angielskich, a wszyscy oni okazali się tak dobrymi naszymi przyjaciółmi.

To samo należy powiedzieć o podoficerach i żołnierzach angielskich. Gdzie tylko mogą okazują nam sympatię i dają wyrazy przyjaźni - pomagają na każdym kroku, są doskonałymi towarzyszami w pracy, sporcie i rozrywkach.

Wielu naszych żołnierzy korzysta z zaproszeń swych angielskich kolegów, którzy zabierają ich do swych domów na kilka dni, a czasem na spędzenie całego kilkotygodniowego urlopu zdrowotnego. Dużo serdeczności doznajemy również ze strony tutejszego społeczeństwa cywilnego. Nie należą do rzadkości fakty zapraszania naszych lotników na

uroczystości rodzinne.

To też tylko dzięki takiemu stanowi rzeczy czujemy się dobrze, mimo że mijają miesiące po miesiącach - a pełnych działań wojennych jak niema tak niema. Nauczyliśmy się jednak cierpliwości - czekamy więc w pełnym przekonaniu, że w głównej rozgrywce zdążymy wziąć udział wyposażeni jak należy.

Zdajemy sobie zresztą wszyscy sprawę, że czasu nie tracimy bezużytecznie, że korzystamy tu bardzo wiele, wystarczy jeśli wspomnę o głównych korzyściach jak: wyrobienie systematyczności w pracy, czego nam - szczerze przyznajmy - zawsze brakowało, przyzwyczajenie do punktualności, zwiększenie poczucia odpowiedzialności za swój zakres obowiązków i wiele innych zalet, które bezsprzecznie mamy możliwość obserwować u naszych gospodarzy. Bo przecież byłoby źle, gdybyśmy tych zalet albo nie chcieli widzieć, albo w sobie wyrobić, jeśli nam ich brak.

No a język angielski: przecież to niezmierna okazja poznania mowy, która w świecie ma tak duże wzięcie, a która może się przydać każdemu z nas w życiu. Słowem nie tracimy tu czasu bezużytecznie - i nie nudzimy się na tej angielskiej ziemi, która stała się naszą czasową ojczyzną.

Sporty również godnie tu reprezentujemy, mamy po temu warunki i zdobyliśmy już kilka sukcesów.

Oto kilka uwag którymi pragnąłem wprowadzić czytelnika w tło naszej "Jednodniówki", pozostaje mi obecnie tylko skierować go do następnych artykułów, które wyrażają nasze myśli, przeżycia, nastroje oraz nadzieje na bliższą przyszłość, którą wszyscy chcemy wreszcie widzieć jasno - niezawodną dla nas i przyszłych pokoleń.

B. S T A C H O Ń

N A S Z E C R E D O

Skąd się tu wzięli ludzie obcy mową, zwyczajami, w tej cichej, zapadłej miejscowości angielskiej.

Co to za jedni, co za los ich tu przypędził. Chodzą cisi, często smutek zasępia ich czoła. Często wśród nich słychać: "Ha trudno, straciliśmy, ale jeszcze nie zginęła, jeszcze żyjemy i Ona żyje w sercach naszych."

Co za jedni, że często o zapłacie mówią, coś jakby o zemście, gotują się do czegoś, co jest ich życiem, i przyszłością. Co za dziwni ludzie, co z uporem depcą trudności zda się nad siły, co idą do dalekiego celu, celu może ponad możliwości człowieka.

I słychać między nimi ważne słowa; chłodno rozważają co ich zgubiło, na miarę zamiarów sposobią siły, myślą i czynią ciągle a wytrwale, z uporem i wiarą, że jednak z prawdy coś ostać się musiało, że jednak Ta co nie zginęła, wraz z prawdą kiedyś zatryumfować musi. I tylko widzi się, że zasępia się czasem bólem ściągnięte oblicze, a ucho chwyta głos co łamie się dziwnie tęsknotą, a jednak rwie się do czynu, tchnie wiarą.

Dziwni ci ludzie, dziwni ci Polacy. Szli tu przez kraje obce, szli przez więzienia, przez góry, przez kolczaste druty koncentracyjnych obozów, płynęli morzami, by zebrać się, by pójść, by krwią przypieczętować wiarę, że Ona zginąć nie może.

I słyszy się wieczorami dziwnej treści wspomnienia, rozmowy jakieś niedzisiejsze, ludzi hartownych w ogniu najcięższych przejść jakie człowiekowi są dostępne. I kończą się one: "A gdy dać Boże wrócimy, gdy warkot naszych silników obudzi polskie niwy, gdy wróci wiara w skrzydła **nasze**, gdy zamienimy miecz na pług, to - to Panie tak nam dopomóż - zbudujemy Ją wielką, potężną, nie tylko obszarem i ilością mieszkańców, ale i duchem, co godzien orlim lotem szybować nad Wolną, Potężną w Majestacie Królewskim **RZECZPOSPOLITĄ**".

I dziś, jutro, wrócisz Żołnierzu-Tułacz, wrócisz nie jako marnotrawny syn, wrócisz nie z łaski zwycięzców, bo

sam jednym z nich będziesz. Wypiszesz krwawy szlak ku Wolności, duchem swym i pracą zbudujesz mur, twierdzę Polski. Polski jutra, a w niej postawisz świątynię Żołnierza Tułacza i świątynię żołnierskiego ducha, co kazał iść walczyć, pokonanemu podnieść się i walczyć, walczyć do tchu ostatka, do zwycięstwa, tak nam dopomóż Bóg.

C.T.

S P R A W I E D L I W O Ś Ć

Wyjąć zaraz z pod prawa niemieckich zbrodniarzy! Bandytów krwawych morza, powietrza i ziemi, A sprawiedliwość ludzka niech przykładnie karze Splamionych zimną zbrodnią i czynami swymi.

Przed trybunał ludzkości wezwać wszystkie duchy Pomordowanych matek, niemowląt i dzieci. Na taśmie filmu zgrozy wyświetlić też ruchy Kikutu dziecięcego, co w powietrze leci.

Później wezwać korowód inwalidów, kalek, Tak poważnych i starych, a tak małych przecie. U większości są loki. Takie jak u lalek. Nic dziwnego, to wszystko biedne, małe dzieci.

Dzieci nic już nie mówią, tylko patrzą smutnie; Te, które patrzeć mogą. Inne płaczą cicho Oczodołami ziewając, które wróg okrutnie Opróżnił im celowo, bezwstydnie i dziko.

Rodziców zamordował, wywiózł, lub wyrzucił Do obozów-cmentarzy, gdzie głód robi swoje. A w ich domach i gniazdach pieśń dziką zanucił Sławiącą jego zbrodnie, krzywdy i podboje.

Dawniej były też walki, wojny i podboje, Lecz rycerskość i honor miały cenę dużą. Dziś na rozkaz swych wodzów, Niemiec swoje zbroje Okrył hańbą na wieki. Niemcy hańbie służą!

Jeżeli wódz dał rozkaz, że rycerzy nie chce, Lud rozkaz wykonuje bez mrugnięcia okiem, Jeżeli dumę Niemiec zbrodnie mile łechce Usuńmy ich za nawias razem z ich prorokiem.

A później przeprowadzimy jak wycięcie raka
Operację konieczną, bez żadnej litości,
Aż odetchnie Europa i znów będzie taka,
Jaką mieć byśmy chcieli, w szczęściu i miłości.

K.M.

R O Z W A Ż A N I A Z P O B Y T U W A N G L I I

W chłodny grudniowy ranek ujrzeliśmy spowite we mgle
wybrzeża Wielkiej Brytanii. Wysiedliśmy na ląd.
Krótki wypoczynek, śniadanie... i znów jedziemy, tym razem
autokarem, po wyśmienitych angielskich drogach wyglądając
ciekawie z okien wozu na malowniczy, łagodnie falisty
krajobraz, na schludne miasteczka i miasta, na dobrobyt z
okien każdego domostwa wyczierający. Jedziemy długie go-
dziny... stopniowo kraj staje się mniej zamieszkały, jak-
by uboższy nieco i, gdy już mrok zapadał, docieramy do ce-
lu naszej podróży, do miejsca pobytu lotników polskich w
Anglii.

Anglicy witają nas po staropolsku chlebem i solą.

Ich serdeczna, niewymuszona gościnność wytwarza od-
razu ciepłą atmosferę. Czujemy się natychmiast swojsko
jak u siebie w domu. A gdy siedzimy wieczorem dookoła
kominka, śpiewając przy akompaniamencie harmonii i forte-
pianu nasze polskie pieśni, wydaje się nam nieraz, żeśmy
odnaleźli skrawek Ojczyzny.

Mijały dni, pierwsze tygodnie naszego w Anglii po-
bytu. Zapoznawaliśmy się z otoczeniem, z miejscowymi wa-
runkami i sposobem bycia tutejszych mieszkańców. Dużośmy
przecież wszyscy o Anglii słyszeli, o jej potęgze i zasobach,
o tej wielkiej demokracji Zachodu, służącej nieraz
za wzór innym demokracjom świata.

Demokracja - oto słowo, pod które dużo treści włożyć
można, sporo różnorodnej, sprzecznej nawet nieraz treści.
Zdaje mi się bowiem, że niektórzy z pośród nas marząc o
przyszłej demokratycznej Polsce, wyobrażają ją sobie jako
państwo, w którym będziemy mieli dużo praw a mało obo-
wiązków, dużo wolności a mało przymusu. Demokracja dla
wielu z pośród nas to jest coś pokrewnego z demagogią,
nierządem, anarchią.

Badając dzieje naszej przeszłości mamy niestety sporo
przykładów demagogii i samowoli pod płaszczem wolności i de-

mokracji przemycanych. Stąd owo mylne wyobrażenie, że ustroj demokratyczny wyklucza silną, sprężystą władzę, dyscyplinę i porządek a jest synonimem swawoli i demagogii, że w takim ustroju wszyscy mogą głos zabierać i rządzić, lecz mało słuchać, dużo gadać i krytykować. Wszelkie ukrocenie swawoli, wszelkie ograniczenie swobody wydają się w takim pojęciu zamachem na wolność, na ustroj demokratyczny kraju.

A tym czasem cóż widzimy w Anglii, w tym klasycznym kraju demokracji i parlamentaryzmu? Widzimy szacunek dla władzy i zrozumienie konieczności ładu. Widzimy społeczeństwo zdyscyplinowane, silną rękę i silne, choć demokratyczne rządy. Widzimy dużo przywiązania do starych zwyczajów i tradycji, szacunek dla pewnych stałych zasad połączonych z duchem postępu i zdrowego liberalizmu.

Jest sporo punktów stycznych pomiędzy Wielką Brytanią, najpotężniejszą organizacją świecką na kuli ziemskiej, a Kościołem Katolickim, najsilniejszą, najżywotniejszą społecznością religijną świata. I tu i tam wielkie przywiązanie do starych form i tradycji, trzymanie się pewnych niezłomnych i niezmiennych zasad nie podlegających dyskusji, ale też i tu i tam wielka elastyczność, giętkość metod oraz umiejętność dostosowywania owych zasad niezmiennych do zmieniających się wciąż warunków życia. Zdrowy solidny postęp, umiar, rozsądek.

I może teraz, gdy los nas rzucił na wybrzeża Anglii, otworzą się oczy tym z pośród nas, którzy jeszcze hołdują demokracji w spaczonym tego słowa znaczeniu. Może i oni zrozumieją na czym polega prawdziwa demokracja. Zrozumieją zapewne, że skoro wszyscy mają prawo do wolności, to wolność indywidualna obywatela musi być ograniczona, by innym również dać możliwość korzystania z wolności, - musi być dobru ogółu podporządkowana. A kto wolności nadużywa, ten do niej traci prawo. Zrozumieją, że zdrowa demokracja nie wyklucza, a przeciwnie, domaga się silnych rządów i im się podporządkowuje.

Rząd nasz i społeczeństwo chcą Polski demokratycznej. Nie chodzi tu jednak o Polskę, w której by liczne, skłócone stronnictwa wydzierały sobie wzajemnie władzę, kłóciły się o posady i wpływy. Broń nas Boże od takiej demokracji, sprowadziłaby ona Polskę ponownie do grobu. Polska przyszłości, Polska wielka i potężna, dzieląca raz na zawsze wałami nie do zdobycia Niemcy od Rosji, musi mieć silne, sprężyste rządy, ale też rządy demokratyczne, to jest takie, za sprawowanie których jest się wobec narodu i jego przedstawicieli odpowiedzialnym.

PRZYJAZD I POWITANIE PIERWSZEJ GRUPY LOTNIKÓW POLSKICH W ANGLII

Wszary zimowy poranek na jednym z dworców Paryża zebrała się garstka mężczyzn. Nieliczni o tej porze pasażerowie z zaciekawieniem przyglądali się, jak na komendę wydaną w niezrozumiałym języku tworzy się zdyscyplinowany dwuszerąg a w cywilnym biednym odzieniu przeży się wojskowa postawa na komendę "baczność".

Przed frontem, sprężystym wojskowym krokiem przechodzi cywilny pan i odbiera raport. Taka garstka pięćdziesięciu ludzi - to pierwszy transport Sił Powietrznych Polski do Wielkiej Brytanii, - to początek jednostek Lotnictwa Polskiego, które ma być odbudowane przy boku potężnych Sił Powietrznych Anglii.

Pociąg wyładowany do ostatniego miejsca wojskiem francuskim rusza na zachód. Mijane po drodze stacje pełne wojska serdecznie nas pozdrawiającego.

Na rozkaz dowódcy piszę pierwszy rozkaz organizacyjny, który idzie obiegiem do wszystkich oficerów. Koledzy, którzy przebywali dłuższy czas w Anglii, nie mogą nachwalić się wspaniałej gościnności oficerów angielskich. Z kolei omawia się wszystkie typy samolotów Wielkiej Brytanii i najważniejsze pytanie - na czym będziemy latać. Na tych rozmowach upływa nam pierwszy etap podróży. Bardzo uprzejmie przyjmuje nas komendant francuskiej morskiej bazy wyznaczając nam kwatery. Mamy czas do jutra rana. Zwiedzamy port i nie bardzo cieszy nas widok wzburzonego morza, gdyż wiadomo, że w takich warunkach przejazd przez kanał nie należy do przyjemności.

Rano miła niespodzianka - może spokojne jak lustro? W porcie panuje szalony ruch i żałujemy, że niemiecki minister propagandy nie widzi tych pod rząd stojących trzech statków z pośpiechem wyładowujących ekwipunek zmotoryzowanych oddziałów angielskich. Co chwila wielkie dźwigi z czeluści luk okrętowych wyciągają jak "dziecinne zabawki" - samochody pancerne.

Ledwo dotknie kołami ziemi, już pracuje zapuszczony mo-

tor i angielski żołnierz w furazerce trzymającej się nad prawym uchem odprowadza samochód do parku.

Widok ten napawa nas dumą i radością, głośno śmiejemy się z niemieckiej prapagandy, która podaje do wiadomości, że nieliczne wojska angielskie przyjeżdżają do Francji na grę w golfa; dadzą oni wam golfa!

Ładujemy się na statek z angielskim oddziałem, jadącym do rodzin ze względu na zbliżające się święta. Odjazd nasz opóźnia się, mamy więc czas na obserwowanie wodnopłatowców ćwiczących w pobliżu naszego statku. Wreszcie ruszamy eskortami przez jednostki floty wojennej. Z każdym kilometrem przybliżającym nas do Anglii wzrasta radość i wesołość towarzyszących nam Anglików i nasze zaciekanie czekającą nas nową robotą.

Anglicy starają się z miejsca stworzyć atmosferę przyjacielskiej swobody i wesołości. Rozprawiając na migi z naszymi żołnierzami częstują czym mogą, herbatą, czekoladą, papierosami. Na pokładzie grupa żołnierzy pod batutą sierżanta wyśpiewuje chóralnie, począwszy od "Siegfried Line" a skończywszy na "Tipperary" cały repertuar pieśni żołnierskich, którymi rozbrzmiewa dzisiaj linia Maginot'a.

-How are you - zagaduje mnie uprzejmie młody angielski oficer.- Przecież wasz rodak to nasz największy powieściopisarz. Korzeniowski na równi z Kiplingiem stworzyli apoteozę Anglika, który niesie w świat wielkie zalety brytyjskiego ducha i charakteru. -

Chciałbym mu odpowiedzieć parę słów, ale już mam w ręku fotografię całej rodziny mojego rozmówcy.

-Moja córka ma dziewięć lat, pisze do mnie co drugi dzień - z radością powiada mi Anglik.

Po kilku minutach rozmowy mam wrażenie, że znamy się już lata i że mam do czynienia ze starym przyjacielem.

Z kolei opowiadam nasze przeżycia wojenne i stwierdzam, że żołnierz polski w ostatnim okresie dosyć się natękał, ale nigdy nie stracił hartu ducha i odwiecznych pięknych tradycji. Przychodzi mi na myśl, że to chyba po raz pierwszy w historii zdarza się, że polskie wojsko będzie tworzone w Anglii.

- Istotnie - potakuje mój rozmówca.

Anglicy śpiewają właśnie melodyjną piosenkę "Mexico Way"

i zachęćeni brawami naszych żołnierzy - bisują.

- Nie darmo Shakespeare, pisząc "Sen nocy letniej" uważał nas za najmuzykalniejszy naród świata - mówi z uśmiechem mój nowy przyjaciel.

Na statku robi się ogólne podniecenie, bo widac już kontury dalekiego brzegu.

Odpinamy pasy ratunkowe, które kazano nam cały czas nosić.

Teraz czeka nas wzruszająca niespodzianka - oto nadlatuje kilka angielskich maszyn i zatacza kręgi nad naszymi głowami. Koledzy angielscy pozdrawiają nas wymachując rękoma. Jest to niezapomniany moment pierwszych serdecznych więzów, jakie coraz silniej zaciskac się będą między nami a wspólnym narodem naszych gospodarzy.

Dobijamy powoli do mola - rzucono liny, przycumowano statek - mostek opada i jesteśmy na ziemi angielskiej.

Po krótkich formalnościach wsiadamy do autobusów, które mają nas zawieźć do jednej ze Stacji R.A.F. - Centrum Lotnictwa Polskiego w Anglii.

Szybko mkniemy przez jeden wielki ogród, jakim wydaje się przybyszowi Anglia.

Po kilku godzinach tej jak gdyby krajoznawczej wycieczki, wjeżdżamy w bramę naszej Stacji, śledząc z zainteresowaniem każdy napotkany szczegół.

Zajeżdżamy przed kasyno oficerskie, gdzie na schodach wita nas w otoczeniu oficerów Komendant Stacji wręczając naszemu dowódcy na tacy chleb z solą.

Nie potrafię wyrazić wzruszenia i wdzięczności, jaka zrodziła się w sercach naszych dla gospodarzy w obliczu symbolicznego zachowania naszych staropolskich tradycji w powitaniu nas w naszej drugiej ojczyźnie.

Komendant Stacji rozpoczyna swoje przemówienie od słów: "On your arrival in England I wish to welcome you in the name of the Chief of the Air Staff - Air Chief Marshal Sir C. Newall, and all ranks of the Royal Air Force. During the recent visit of Gen Sikorski to this country, the C.A.S. informed Gen. Sikorski that he not only welcomed you in this country but he was also proud of the opportunity of having Polish Air Force personel fighting as allies with our forces

against the common enemy." / "Witam Was na ziemi angielskiej w imieniu Marszałka Lotnictwa Sir C. Newall oraz w imieniu Royal Air Force. W czasie ostatniej wizyty Gen. Sikorskiego w Anglii, Sir C. Newall wyraził się, że nie tylko serdecznie lotników polskich powita na ziemi angielskiej, ale także dumny jest, że lotnictwo polskie wraz z Aliantami walczyć będzie ze wspólnym naszym wrogiem."/

Piękna wojskowa sylwetka Komendanta i proste żołnierskie słowa jakimi nas wita, biorą wszystkich za serce.

Z dalszych słów przemówienia dowiadujemy się, że Komendant naszej stacji, w którego ręce złożono najtrudniejsze zadania przystosowania organizacji naszych jednostek do czekających nas zadań, zna dobrze Polskę i Naród Polski.

Co najważniejsze, dowiadujemy się, że jako delegat przy attaché lotniczym W. Brytanii w Warszawie, od chwili wybuchu wojny aż do ostatnich godzin, to jest do chwili wkroczenia wojsk Rosji Sowieckiej, Komendant Stacji był naocznym świadkiem bohaterskich walk z nawałą przemożnego wroga.

Z wielką ulgą słuchamy słów Komendanta: "Cały Naród Brytyjski żywi podziw dla determinacji z jaką Polska zareagowała na brutalną napaść wspólnego naszego wroga."

W duszach naszych potęguje się wiara w przyszłość i rodzi się duma, że dane nam jest walczyć o wolność Ojczyzny u boku tak wspaniałego Narodu.

K.



MINISTER LOTNICTWA W. BRYTANII SIR KINGSLEY WOOD W CENTRUM
LOTNICTWA POLSKIEGO W ANGLII

Jest szary, zimowy dzień. Pola bielą się jasną szatą rzadkiego w Anglii gościa - śniegu. Spokój natury pokrywa się z naszym spokojem - zajęcia odbywają się normalnie według rozkładów.

Spokój ten wynika z poczucia dobrze spełnionych obowiązków. Zapowiedziana na dzisiaj wizyta Ministra Lotnictwa Wielkiej Brytanii Sir Kingsley Wood'a przejawia się tylko w przygotowaniach ćwiczącego plutonu honorowego.

Na krótko przed podaną godziną, ogromny hangar ze stojącymi po bokach samolotami zapełnia się. Na czołe stoi pluton honorowy. Środkowa, najliczniejsza grupa - to oficerowie, w nowych mundurach typu R.A.F. Na czapkach srebrzą się Polskie Orły z husarskimi skrzydłami. Za nimi grupa oficerów, jeszcze w ubraniach cywilnych.

Maszeruje pluton honorowy. W pewnej chwili przy drzwiach hangaru robi się poruszenie. Zajeżdżają samochody. Rozbrzmiewa sygnał trębacza. Zwarte szeregi żołnierzy pozostają w bezruchu. Pada komenda: "na ramię broń! prezentuj broń!". Słychać twarde słowa raportu składanego przez dowódcę plutonu honorowego.

Pan Minister przechodzi przed frontem oddziału, po czym pozdrawia żołnierzy w języku polskim: "Czołem lotnicy!"

Pada gromka odpowiedź.

Sir Kingsley Wood wraz z Komendantem Centrum Lotnictwa Polskiego w Anglii i Komendantem Stacji Angielskiej przechodzą przed frontem oddziału oficerów.

Twarz o dobrotliwym uśmiechu, oraz bystre oczy patrzące z poza okularów, nie dają wrażenia, że mamy przed sobą człowieka, który kieruje potężnym, zbrojnym ramieniem Anglii. Ramieniem - które może karać przeciwnika na progu swego domu, ale może również zadawać ciosy ostre i głębokie na całą długość zasięgu swej skrzydlatej floty.

Nie ma sztywności oficjalnej wizyty - padają pytania

i odpowiedzi. Grupa operatorów i dziennikarzy, w przeciągłych błyskach magnezji notuje szczegóły wizyty, aby podać je potem we wszystkich pismach i dodatkach filmowych Imperium. Rozmowy toczą się na tematy dotyczące niedawnych walk w Polsce, naszego obecnego pobytu w Anglii i warunków wyszkolenia. Następuje defilada oddziału honorowego, którą odbiera Pan Minister w otoczeniu wyższych oficerów. Miarowy żołnierski krok, błyszczące rzędy bagnietów i postawa starego żołnierza, przypominają defiladę naszych oddziałów w kraju.

Pierwszy raz na Angielskiej ziemi maszeruje Polski Żołnierz z bronią w ręku.

Po odebraniu defilady Pan Minister udaje się w kierunku stojących opodal samolotów, przy których pracują nasi mechanicy.

Zapuszczone silniki grają znajomym głosem.

W ich szumie słyszy się niecierpliwość oczekiwania, kiedy ujęte dłonią pilota tysiące toni mechanicznych poderwą do lotu polskie skrzydła, aby pokazać światu, że chwila triumfu sprawiedliwości nad gwałtem - nadeszła.

Zwarte grupy odchodzą do swych zajęć.

Długi szereg samochodów wiozących uczestników wizyty, odjeżdża w kierunku kasyna oficerskiego.

W ciepłym, przyjemnym nastroju, wśród ożywionych rozmów prowadzonych całym, skromnym jeszcze zapasem słów języka angielskiego, upływa czas przed obiadem.

Tradycyjną "lampką wina", wzniesioną za braterstwo Angielsko-Polskiej broni lotniczej, zakończył się pobyt Pana Ministra Sir Kingsley Wood'a w Centrum Lotnictwa Polskiego w Anglii.

M.A.W.

WIZYTA DOWÓDCY POLSKICH SIŁ POWIETRZNYCH
GENERAŁA J. ZAJĄCA W CENTRUM
LOTNICTWA POLSKIEGO W ANGLII

PODNIESIENIE FLAGI

Dzień 20.lutego 1940r pozostanie nam na zawsze w pamięci.

W dniu tym mieliśmy bowiem szczęście gościć u siebie Dowódcę Polskich Sił Powietrznych, Generała bryg.pil.dr J. Zająca i w dniu tym poraz pierwszy podniesiona została na maszcie - obok flagi angielskiej - polska flaga lotnicza.

Już od kilkunastu dni było wiadomo, że Generał przyjeżdżie, ale termin wizyty był nieustalony; krążyły różne pogłoski, wymieniano różne daty. Aż pewnego dnia Rozkaz Dzienny podał do wiadomości datę przyjazdu - 20 lutego.

Dzień ten, jak przystało na wielkie święto, wolny był od zwykłych zajęć. Zrana, później nieco niż zwykle, pomaszerowały oddziały na plac flagi, który wypełnił się zwartymi szeregami szaro-niebieskich mundurów. Przed długimi liniami oddziałów stanęła eskadra honorowa polska, a obok niej angielska.

Punktualnie o zapowiedzianej godzinie zjawił się Generał, powitany marszem generalskim, odegranym przez mieszaną polsko-angielską orkiestrę. Komendant Centrum przyjmuje raport od poszczególnych dywizjonów, poczym zdaje raport Dowódcy Sił Powietrznych. Następuje przegląd całości: najpierw eskadr honorowych, następnie zaś szeregów żołnierzy.

Skolei nadszedł kulminacyjny punkt dnia - podniesienie flagi. Podniesienie flagi odbywa się tu, podobnie jak w Polsce, codzien zrana; jest to normalne rozpoczęcie dnia powszedniego. Ale dotychczas była to zawsze tylko angielska flaga lotnicza - skośna krata Union Jack'u i współśrodkowe koła na niebieskim tle. Dziś po raz pierwszy zawisnę na maszcie także i polska flaga.

Wśród niezmiernej ciszy, w której słychać było tylko lekkie skrzypienie rolki linki flagowej, zwolna uniosły się ku górze dwie bratnie flagi. Obok angielskiej załopotała nasza flaga z Orłem i białoczerwoną szachownicą.

Wraz z nią wszystkie spojrzenia i wszystkie myśli uniosły się ku górze a serca zabiły silniej. Bo przecież flaga ta symbolizuje wszystko co mamy najdroższego. I w tej chwili skupienia przychodzi na myśl stara piosenka o żołnierzu tułacz, która niedawno wydawała się nam szacownym zabytkiem historycznym, a dziś nabrała nowej bolesnej aktualności; przypominają się słowa Mazurka Dąbrowskiego, które po półtora wieku dziś znowu są na czasie. Tylko nie z włoskiej a z angielskiej ziemi będziemy tym razem wracać do Polski.

Świadomość tego, że flaga nasza powiewa obok flagi lotnictwa największego mocarstwa świata, że oto mamy razem z Anglikami walczyć ramię przy ramieniu - we wspólnej naszej sprawie - świadomość tego napawa nas otuchą i daje nam wiarę, że z walki tej sprawa nasza musi wyjść zwycięsko. Patrząc na maszt z flagami czujemy żeśmy gotowi do czynu i wiemy, że to, co nam obca przemoc wzięła, mocą odbierzemy.

Defilada! Jeden za drugim przechodzą przed Dowódcą Sił Powietrznych równe, karne prostokąty oddziałów. Idą równo, jak jeden człowiek a twarze ich, zwrócone ku Generałowi, zdają się mówić: "Oto jesteśmy gotowi". Idą długo przy dźwiękach muzyki i Kopotaniu barwnych flag.

Popołudniu odbyła się nieoficjalna część wizyty, przyjęcie w Kasynie Oficerskim, gdzie oficerowie polscy i angielscy podejmowali Dostojnego Gościa. Przyjęcie odbyło się w niezwykle miłej i serdecznej atmosferze.

B.



REFLEKSJE WIGILIJNE

Sala ustrojona girlandami świerku. Na całej szerokości ściany, za honorowymi miejscami, harmonijne połączenie emblematów państwowych i lotniczych angielskich z polskimi. Pod przeciwległą ścianą choinka, ubrana przez panie Polonii angielskiej, których kilka przyjechało na naszą wieszercę, przywożąc prezenty dla żołnierzy.

Punktualnie o godzinie siódmej przybył angielski Komentant Centrum z małżonką, która z iście matczyną troskliwością zabiegała około urządzenia naszej uroczystości. Chwilę później nastąpił moment, który był jednym z naszych najsilniejszych przeżyć na obczyźnie, moment łamania się opłatkami.

Bywają w życiu człowieka chwile, w których gruba warstwa przeżyć gromadzonych na dnie duszy, nagle przychodzi do głosu. Bywają chwile, w których wspomnienia radosnych minionych dni, przemawiają z taką siłą, że trzeba ogromnego wysiłku woli aby je stłumić. Bywają wreszcie chwile, w których doznane krzywdy występują z taką wyrazistością, że nie ma ceny, którą możnaby je okupić.

Taki moment przeżyliśmy w czasie naszej pierwszej wigilji na obczyźnie: zaboląły nas wspomnienia, tęsknota, a najbardziej krzywda jaką nam wyrządzono.

Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że tak długo, dopóki koła naszych samolotów nie dotkną wolnej polskiej ziemi, musimy być żołnierzami o twardych hartownych duszach; specjalnie teraz nie możemy pozwolić sobie na najmniejszy chociażby oddech słabości, równocześnie jednak uwydatniło się charakterystyczne znamię duszy polskiego żołnierza. Żołnierz polski, napewno nie załamał się słysząc huk pękających wokół siebie szrapneli, lecz trzeba mu wielkiego wysiłku woli, aby się nie załamał, gdy usłyszysz szelest łamanego na obczyźnie opłatka.

Zanim padły słowa składanych sobie życzeń, była chwila wielkiej ciszy. Chwila, w której przeżyliśmy bardzo wiele, o wiele więcej niż opowiedzieć można. Oczyma duszy, każdy z nas ujrzał swój dom rodzinny. Tam pewnie jak zwykle: miliony wyiskrzonych gwiazd na granatowym niebie, na cichych w tej chwili ulicach miast i polach bezkresnych śnieg bielusiń-

ki leży, a na szybach domów gruba warstwa diamentami lśniącego lodu... Tylko, że nas tam niema, tylko, że stara matka ma łyży na policzkach, wiatr gwiżdże w nienapalonym piecu, żona utrudzona walką o chleb dla dzieci czeka niepewnej wiadomości, a dziecięce oczy nie płoną radością... i tylko, że tam gdzie niegdzie czerwona krew przez biały śnieg przesiąka.

Niemcy!

Niechaj wam się nie zdaje, że ich lub nas złamiecie. Ani rok, ani dwa, ani pięć nawet lat wojny nie zniszczy duszy polskiego narodu. Nie zapominajcie, że tam zostali ludzie o duszach hartowanych studwudziestoletnią niewolą, ludzie, którzy umieją wytrwać i czekać odpowiedniej chwili.

Przyjęte jest w armii angielskiej, że na wieczery wigilijnej, spożywanej wspólnie w pododdziałach, żołnierzom do stołu podają ich oficerowie. Postanowiliśmy ten miły zwyczaj wprowadzić u nas.

Z chwili na chwilę, a raczej w miarę narastania na stołach ilości talerzy ze staropolskimi daniami wigilijnymi, nastrój ożywił się, aż wreszcie przyjął swą normalną formę gawędy obozowej - humor, kolenda i wspomnienia.

Wspomnienia - takie radosne z dawnych lat, a takie smutne z dni ostatnich. Jakby ktoś karty historii cofał od 1920 roku począwszy, aż po najstraszniejsze zbrodnie średniowiecza. Jakby ktoś koszmarną baśń opowiadał, która chyba między ludźmi nigdy nie mogła być rzeczywistością, lecz może tylko gdzieś na dnie najokropniejszego piekła.

Nie zapominajmy jednak, że zło może mieć tylko formę przejściową. Wiemy przecież, że wreszcie miną kiedyś te wlokące się dni oczekiwania i ponownie wystartujemy do walki. Pójdziemy wówczas z poświęceniem ułanów z dnia ostatniego września, z siłą wytrwania żołnierzy Westerplatte i Helu i z bohaterstwem tych, co z gołymi rękoma rzucali się na czołgi nieprzyjacielskie. Będziemy regulowali zaciągnięte w stosunku do nas długie.

Dziś noc wigilijna.

Kiedyśmy byli dziećmi opowiadały nam matki, że w taką noc podobno nawet najwięksi wrogowie dłonie sobie podają.

Niechaj przyjdą, niechaj wyciągną rękę, podamy im swoją, darujemy im winy, lecz jeśli wpierv morze wylanej krwi i łez

wrócą do serc polskich i oczu.

Od dzieciństwa przywykliśmy, że najbliżsi składali nam życzenia: niechaj się spełni to, o czym marzysz. Jest w tym ogromna rozpiętość treści, ale dzisiaj marzenia nasze dotyczą tylko kilku godzin, godzin potrzebnych na pokrycie lotem odległości z lotniska, na którym wylądujemy po wykonaniu ostatniego zadania bojowego, do pierwszego lotniska w Polsce.

Będą to godziny najsilniejszych przeżyć, kiedy przelatywać będziemy nad Niemcami i ujrzymy je we krwi i zniszczeniu, w jakim widzieliśmy Polskę.

Pod nami, wąskimi nitkami dróg, sunąć będzie nasza szara, ranami krwawiąca, kurzem okryta, ale tym właśnie królewskowspaniała piechota, niosąc wolność na ostrzach bagnetów.

Po powrocie ślady wojny zacierać będziemy pracą, pracą bez wytchnienia, przez wszystkie dni i noce, aż po ostatnią godzinę życia.

Dziś noc wigilijna.

Wszystkim Wam, których już nigdy między nami nie będzie i Wam, którzy cierpicie w szpitalach, w więzieniach, w obozach jeńców, pod prześladowaniem najeźdźców i Wam, którzy jak my płoniecie chęcią walki - wiatr mroźny, co za oknami wieje, niechaj powie, że chwila wyzwolenia bliska, że krew przelana i cierpienia Wasze nie są próżne.

Niechaj słowa naszej kolendy dotrą do Waszych domów lub mogił: Bóg się rodzi, moc truchleje...

AL - IR



Mokry i ostry wiatr jęczy w przewodach. Czarne macki nocy objęły w posiadanie ziemię. Gdzieś tu i tam zarysowuje się niewyraźny kontur jakiejś masy: dom. Ciemno. Wszak to wojna.

Idę śmiało pochylony w przód, walcząc z podmuchami wiatru, starającymi się zepchnąć mnie z drogi. Gdzieś zdala dochodzi zrazu ciche, zwolna potęgujące się człapanie drugiego śmiałka po błocie. Mglisty zarys postaci mija mię, słyszę: "Good night". Odpowiadam automatycznie "good night". Znowu jestem sam. Jeszcze skręt na lewo, potykam się na schodach, liczę: jest ich sześć. Drzwi. Ręka wyrwana z ciepłej kieszeni niechętnie błąka się po oślizgłych wilgocią drzwiach. Klamka. Jest klamka. Energiczne szarpnięcie - korytarz - znowu drzwi: jasna smuga światła wrzyna się w mrok.

Więc jestem: kantyna NAAFI, szeregowców. Hałas i szum. Na środku w żelaznym, otwartym piecyku, imitującym kominek, jasno żarzy się węgiel. Płomień obrzuca migotliwym światłem, jak znaki zapytania porzrzucane, niedbale, postacie żołnierskie. Niewyraźne ich cienie wykonywują dziwny jakiś taniec na ścianie.

Tak inaczej niż u nas. Wszak to wojna.

Dwóch zapamiętałe kręci gdzieś w ciemnym kącie gałką radia. Swietlana kreska przebiega skalę, staje, waha się, znów staje, wraca, by znów za niedbałym pokręceniem gałki w przód się posunąć. Głośnik szybko zmienia melodię. Tu słyszać muzykę, tu takt jej mąci mowa. Czasem, jak zgrzyt żelaza, jak fałszywy akord w harmonii, wkłada się dźwięk niemieckiej mowy. Na twarzach grymas niechęci, krótki syk: szybkim, jakby zawstydzonym za zburzenie harmonii ruchem, siedzący przy radiu przerzuca gałkę. Z głośnika bucha melodia foxtrota. Harmonia wraca.

Mówię coś do sąsiada: odruchowo odwraca głowę. Widzę dwoje zamglonych oczu: przebija w nich tęsknota i głębokoki smutek. Milczenie trwa. Wreszcie padają słowa: "pytałeś mnie o coś". Tęsknota i smutek nikną gdzieś w głębi. Milczę. Trochę gniewnie powtarza pytanie:

"Pytałeś mnie o coś". Z kolei ja milczę.

Gdzieś w innym rogu dwóch zapamiętałe gra w szachy. Długa tubka popiołu leżąca na przedłużeniu tłącego się ogarka papierosa świadczy, że partja poważna. Jeden w zamyśleniu podparł się i z wyteżeniem patrzy w szachownicę. Drugi założywszy kolana na stół - wciąga w siebie dyn, ażeby za chwilę w piękne kółka go uformować. Jedyne kibic, trzymając dawno zgasłą fajkę w ustach i ssąc ją bezustannie, siedzi pochylony nad szachownicą.

Obiegłszy i tę grupkę, wzrok mój dalej wędruje. Tu ciemna ściana, jakiś obraz ze średniowieczną sceną, niżej niezrozumiały dla mnie napis. Nagle wzrok zatrzymuje się na jasnej plamie - kalendarz. Machinalnie czytam datę: 31 grudzień 1939.

To Sylwester. Sylwetki porozrzucane - to żołnierze oddziałów polskich Royal Air Force. To Sylwester na obczyźnie. Sylwester 1939.

Głównik gra namiętne tango hiszpańskie.

M.dM.

W N O C S Y L W E S T R O W A

Gdy w gasnących błyskach zachodzącego słońca konał ostatni dzień Roku Starego i gdy mroki wieczorne po ziemi się kładły, na ciemniejący granat nieba wypłynęła złota tarcza księżycy - Wielkiego niebios Samotnika, niemego światła tylu nieszczęść ludzkich, tylu łez i krótkich jak sen jasnych chwil, - świadka tak starego - jak starym jest świat.

W srebrnych jego blaskach kąpały się dumne kohorty Aleksandra Wielkiego, zwycięskie on widział pochody Cezara, żywym tkał srebrną drogę Rodziny Świętej, gdy przed mordercą szukała schronienia, pokornie kładł swe promienie u stóp Chrystusa, co pośród Colosseum ruin rozpościera umęczone rannona. Atylli niszczącej fali nienym był świadkiem, Krzyżowców zwycięski błysk niecza on widział i znak Proroka

pod Wiedniem zdeptany i plonię jaszczurcze na polach Grunwaldu rozbite. Patrzył w szklane oczy żołnierzy Wielkiej Armii, co w śniegach Rosji topniała - i Verdun mu nie obce i w jego poryte lejami pocisków kazamaty zaglądał, i cmentarzyska ludów on zna od brzegów Marny po Dniepru porchyla.

I dziś, u schyłku roku płynie w swej wiecznej po niebie wędrownice, on, Wielki Samotnik, co widział światła i cienie ludzkości, jej mękę, jej łzy.

Z kraju Kwitnącej Wiśni wypłynął, gdzie zawsze pachnie kwiat jabłoni, gdzie gojsze śpiewem swym umilają życie. I znów, jak przed laty, świat we krwi widzi skąpany.

Widzi jak krwawią Chiny Samuraja mieczem przebite, skrzy się na bezkresnej, puchem śniegów pokrytej Syberii, gdzie kiedyś biegły drogi Polskiej Golgoty.

Patrzy...

Zajrzał za Kremlu okna i wnet się chmurą odrazy i smutku przesłonił. Aż przejrzał się w wodach Dniestru, srebrną oplótł przędzą ruiny Stanicy Chreptiowskiej, wybił mury Kamieńca, co wspomnień mu strunę trąciły i dni minione na pamięć przywiodły, dni wielkie, dni Wołodyjowskich i Sobieskich.

Tak płynął w tęsknej zadumie po niebios ciemnym granacie, migotliwymi błyski ciekawie patrząc, co zostawił Rok Stary, co niesie Rok Nowy.

Lecz już nie biegła ku niebu po jego srebrnych promieniach zawadziacka życiem i szczęściem piosenka Sarmaty, co hucznie - buńczucznie zwykł żegnać Rok Stary. Starto z ziemi wrażą przemocą sioła i miasta spowiła mgła łez i wiatr jeno hulał na ugorach, wśród sinych pustkowi, wśród zgłiszcz, od których szła na drżących jego promieniach modlitwa rozpaczny pełna. Szła hen, wysoko, tam gdzie milion gwiazd świeci, a między gwiazdami - Bóg.

A Wielki Samotnik płynął spokojnie. Piościwie srebrnymi blaski otulał świeże mogiły Westerplatte, gdzie wiatr jeno zimny kikutami popalonych drzew poszum żałobny czynił, jakby do snu poległym.

Warszawa. Rok temu inną on widział Warszawę, Warszawę tańca, beztroskiej piosenki, radości. Widział błyszczące szczęściem oczy i wyznał gorących był świadkiem, i za okna zaglądał szczęśliwe, gdzieżadko smutek był gościem.

A dziś?

Promienie jego po zgłiszczach, po pustych błakają się ulicach. Do okien pełzną, z których wyziera i nędza i smutek i łzy, i te mogiłki uliczne, okrutnie pobitych dzieci, drżącymi dziś całuje blaskami.

Taką dziś widzi Warszawę, to przyniósł Warszawie Rok Stary...

Płynie dalej na zachód w swej wiecznej tułaczce i Pragę widzi spowitą żałobą i z Wiednia upojnych melodii walca nie słyszy. Jenó patrzy jak Berlin weseli się radością szatanów. Zamyślił się Wielki Samotnik i doświadczeniem ubiegłych wieków bogaty okrutną wróżbą za okna niesie, tam, gdzie myślami gnębiony, Warszawy kat duma.

Patrzy z wysoka na złe armat paszcze, na pola minowe, zasieki, na Maginota kazamaty forteczne, gdzie zacznie się się akt pierwszy zemsty straszliwej, gdzie niedługo grób znajdzie germańska pycha.

Widzi Paryż beztroski i Londyn w pewności zwycięstwa, a poszum bretońskich lasów niesie mu wieść radosną; i fale, co od Albionu idą ku Francji brzegom, rozhwor radosny prowadzą o polskich skrzydłach...

A gdy Wielki Samotnik płynął dalej na zachód ponad szumiącym Atlantyku bezmiarem, nikły na błękitniejącym niebie drzące błyski gwiazd i w czerwieni porannych zórz nadchodził Rok Nowy – rok krwawych dziejowych rozrachunków, rok zwycięstwa dobrego nad złem.



P.

L E G E N D A

...Tym co swe młode życie kładli
Ojczyźnie u stóp - tym nieznany
z Warszawy, Westerplatte, Modlina...

Szedł ci Jasiek przez las siny, szedł przez góry i doliny - szedł, szedł...

Kołysały się drzew wierzchy, coś szeptały, coś śpiewały.

On szedł z twarzą rozjaśnioną, zasluchany, oczy płoną, włosy kieby len...

Coś go wiedzie w oną drogę, chce odnaleźć tam niebogę Matkę - Złoty Sen...

Zabłąkała się gdzieś w borzo, zaszła kędyś na bezdroże i gruchnęła wieść, że Ją wilków chciwych stada rozszarpały.

Biadaż, biada starszym braciom, oną nocą nie spiesz yli Jej z pomocą, zatracili cześć...

I krew Matki ich nie boli, kręca głową, że w niedoli, lecz nie bieżą, nie...

Jemu bez niej cni się wiecznie, ani legnąć mu bezpiecznie - w błogim spocząć śnie...

W oczach żywa wciąż mu staje Macierz Stara... Niech świat baje, że iść w ciemnie lęk... Żadna siła go nie strzyma - z utkwionymi w dal oczyma pójdzie po Nią sam - choć do piekła bram...

Zahuczała burza w lesie w chmurną ciemną noc, zachrząsały drzew konary, padł z łoskotem olbrzym stary wpół spróchniały dąb...

Z dzikim hukiem jak przy młynie potok deszczu z nieba płynie aż przejmuje ziać...

Jasiek włos ma potargany jakby wichrem pszenne łany - bieży dalej w przód. Jedna myśl na sercu leży - krzywda dzieje się Macierzy - musi stać się Cud...

Macierz moja osiwiła - coś mię do snu kołysała, głos
Twojej pieśni drży... W burzy, w ciszy, moje ucho wciąż Cię
słyszysz przez wilgotne mgły...

Matusz moja wciąż się żali, że Jej wszystko odebrali,
nawet chleba kęs... Ni dobytku już, ni roli, ~~nie~~ krom smutku
i niedoli - i żzy spadły z rzęs...

Poszła z skargą do sąsiady - obcych ludzi prosić rady,
przez ów ciemny las. U ich progu cicha staje...

...My nie brali, niech oddaje kto pokrzywdził Was. My
dziś sądzim jeno winy. - Pocóż dały Twoje syny mienie obcym
brać...

...Tak-ci płynie urągliwie - obcych ludzi głos po niwie,
bezlitosny głos... Tak-ci wicher wciąż szeleści i Jaśkowi nie-
sie wieści w serce mierząc cios...

Niech pomstują, niech gadają, obcym nisko się kłaniają -
mnie tam już nie dziw...

Ale wówczas usta stulą, gdy odzyskam Was - Matulu - a
jam jeszcze żyw...

Szedł-ci Jasiek drogą długą, długą - księżycowych widzeń
smugą, wśród ciernistych dróg...

Aż omdlała i wybladła na swe silne cisnąć łono - krzyknął

"Ty i Bóg!"

"Ja Cię Matko znów ocucę, co stracone Ci przywrócę -
pomny braci win... I nie spadnie włos z Twojej głowy - szczę-
ścia wiek Ci stworzę nowy - ja najmłodszy syn..."

P.

S.P. KPT. PIL. MIROSŁAW LEŚNIEWSKI

DOWÓDCA 142 ESKADRY MYŚLIWSKIEJ

Drugiego września 1939 o godzinie piętnastej stanęły w szyku naprzeciw siebie obie eskadry dywizjonu myśliwskiego 4 p. lot. na odprawę przed lotem bojowym.

Z ust do ust przechodziła wiadomość, że mamy lecieć na bardzo trudne i niebezpieczne zadanie.

Nastrój był więc podniecony, a z twarzy biło zadowolenie, że będzie dobra robota. - mokra. Z ust Dowódcy dyonu pada rozkaz: "Jedna eskadra pójdzie na zwalczanie kolumny zmotoryzowanej, druga na wymiatanie w rejonie Grudziądz-Łasin. Kto z panów leci na pierwsze zadanie, a kto na drugie?" - zwraca się do dowódców eskadr.

Zaległa cisza. Jedynie trzech ludzie zdawali sobie sprawę z tego, który lot jest prawie bezpowrotny. To też z żadnej strony nie padło słowo: moja.

Dowódca dyonu ś.p. kpt. Laskowski Florian decyduje się na losowanie. Los padł. 141 eskadra - na zwalczanie broni pancerniej, 142 - na wymiatanie.

Polecieli. W kilka minut później startuję w kluczu kpt. Leśniewskiego wraz z ppor. Pniakiem w kierunku Grudziądz-Łasin na wymiatanie. Przed Chełmżą odrywam się od klucza, atakuję zgrupowanie Dornierów - 17. Jednocześnie kpt. Leśniewski widzi drugie zgrupowanie, bardziej na północ, składające się z pięciu Do-17. Wykorzystując słońce zjeżdża pod ogon jednemu z nich.

Walka trwa krótko. Jeden atak wystarczył, aby przeciwnika zwalić na ziemię. Widząc, że jeden z Dornierów jest wykończony, rzuca się na następnego. Jednakże w tej chwili przeciwnik zdołał zauważyć "Osę" - tak Niemcy nazywali Pl1c - i zaczyna się skutecznie bronić. Zgrupowanie rozsypuje się widząc tylko dwóch atakujących. Zaatakowany Dornier broni się rozpaczliwie. Zaabsorbowany walką z obroną ofiarą, kpt. Leśniewski nie zwraca uwagi na tyły. W międzyczasie atakują go dwa bombowce. Wtedy przychodzi z pomocą ppor. Pniak, który podczas walki zorientował się, jak wielkie niebezpie-

czeństwo grozi jego Dowódcy. Pomoc okazała się nie tylko w porę, ale i skuteczna.

Jeden z Dornierów wali się w płomienie, drugi ucieka. Tymczasem kpt. Leśniewski mając wolne plecy, prowadzi do końca zwycięską walkę, zestrzelując jeszcze jednego przeciwnika. Zgrupowanie przestaje istnieć. Na polu walki zostają jako zwycięzcy kpt. Leśniewski oraz jego obrońca ppor. Pniak.

W tym dniu nie wrócili z zadania kpt. Laskowski, ppor. Urban i kpr. Mielczyński.

Ileż razy byłem w powietrzu z kpt. Leśniewskim, zawsze wydawało mi się, że ten człowiek stawiał się podczas walki olbrzymem, któremu nikt nie był w stanie dorównać. Szedł w najsilniejszy ogień, nie liczył się ani z ilością ani z jakością przeciwnika. Istniał dla Niego tylko nieprzyjaciół.

Szkoda, że historia Jego walk była tak krótka, chociaż obfitująca w przykłady poświęceń i bohaterstwa.

Czwartego września dochodzi do bitwy powietrznej nad majątkiem Poczakowo w okolicach Torunia. Bierze w niej udział osiem P-11c przeciw czterdziestu samolotom niemieckim Do-17, Ju-87 i Me-109. Kpt. Leśniewski prowadzi nas do walki. Tuż po starcie Niemcy zaczynają po nas jeździć jak im się tylko podoba, ale bezskutecznie. Dzięki manewrom unikamy ognia karmów, starając się narzucić sposób walki dogodniejszy dla nas. Pomimo wielkiej przewagi nieprzyjaciela dowódca nasz nie rezygnuje z walki.

Tym razem los okazał się srogim tylko dla Niego.

Podczas walki, w której rzucaliśmy się pojedynczo na klucze, czy też większe zgrupowania przeciwnika, kpt. Leśniewski wybiera sobie jednego z nurkowców, którego dusi do ziemi i zwycięża.

Każdy z nas był tak zaabsorbowany walką, że nie mogliśmy dostrzec niebezpieczeństwa grożącego Dowódcy, który został zaatakowany przez trójkę Me-109.

Atak nieprzyjaciela był celny. Kpt. Leśniewski zostaje ciężko ranny, a samolot zapala się. Z powodu małej wysokości skok jest niemożliwy. Pod ciągłym ogniem Messerschmittów, ranny i poparzony, rozбивa się przy lądowaniu, jednak dość szczęśliwie.

Niemcy w dalszym ciągu nie szczędzą ognia na płonący samolot. Jak nam później opowiadał kpt. Leśniewski, zabrakło Mu sił do wyjścia z maszyny. Dopiero po odlocie napastników ludzie będący w pobliżu wyciągnęli Go z maszyny. W kilka godzin później przewieziono Go na nasze lotnisko.

Widząc Go w ciężkim stanie, a jednocześnie słysząc trzeźwe opowiadanie z odbytej walki, nigdy nie przypuszczałem, że On do nas nie wróci.

Mimo ciężkie rany, pierwszym Jego pytaniem było: "czy wszyscy wrócili?". - Czekał zaniepokojony na odpowiedź. A kiedy usłyszał, że nie wrócili por. Wilczewski i ppor. Pniak, widać było, że nie odczuwał już własnego bólu, a w oczach Jego czytaliśmy tylko cierpienie po utracie dwóch kolegów, których spotkał jeszcze może gorszy los.

Jednakże wieczorem zagubieni odnaleźli się.

Kpt. Leśniewski, ciężko ranny, pędzony wraz ze szpitalem na wschód, umiera w Kowlu dnia 13 września 1939 roku.

Odszedł od nas, od eskadry, którą tak kochał, a która pod Jego dowództwem zapisała piękną kartę w dziejach walk o sławę Polskich Skrzydeł.

Zostawiłeś nam Kapitanie Leśniewski wzór walki pełnej poświęceń i bohaterstwa w Świętej Sprawie.

Zapewniamy Cię, że obowiązek swój spełnimy, a śmierć Twoja zostanie pomszczona.

S.S.



K A R T K I Z P A M I Ę T N I K A

3 września 1939,
lotnisko polowe Białobrzegi.

P o g o t o w i e

- Dlaczego nie lecimy? Tam na linii frontu krwawi się nasza piechota, a my tutaj siedzimy w lesie z podwieszonymi bombami, schowani jak mysz pod miotłą - słyszę, jak dyskutuje głośno Janek, leżąc koło maszyny.

Rzeczywiście, trzeci dzień wojny. Niemcy przerwali front pod Wieluniem i dochodzą do Częstochowy, a my siedzimy spokojnie. Dziesięć starych, dobranych załóg, dziesięć "Karasi", w pełnym bojowym rynsztunku, gotowych do lotu. Pod każdą maszyną wisi osiem "pięćdziesiątek". Przykrzy się już taka bezczynność. Sam dowódca eskadry chodzi zły, rwie się do lotu, niestety niema rozkazu. Jest śliczna wrześniowa pogoda. Ranne słońce wyłącza szare ściernisko i srebrzy ciemne igliwie sosen. Dostojna cisza i spokój dojrzałości panuje w naturze.

Z b i ó r k a

Nagle słyszę głos służbowego:-- Personel latający, zbiórka! - Z pod każdej maszyny podrywają się trzy postacie w poplamionych kombinezonach, z mapnikami pod pachą.

- No, może nareszcie zacznie się -- myślę w duchu idąc w stronę namiotu dowódcy eskadry.

O d p r a w a

- Proszę Panów, ustawić się kolejno załogami, klucz Nr.1, 2 i 3. - Głos dowódcy eskadry lekko podniesiony, mapy w ręku, na nich zdaleka widzę wyrysowane jakieś strzałki.

- Sytuacja: nasze oddziały w styczności z nieprzyjacielem wycofują się na wschód od linii kolejowej Częstochowa-Piotrków. Nieprzyjacielskie kolumny pancerne posuwają się po osi Radomsko-Gidle i Radomsko-Kamińsk. Rozpoznanie stwierdziło zwarte kolumny nieprzyjaciela na szosie

w kierunku na Gidle.

- Zadanie: zbombardować kolumny nieprzyjaciela w podanym rejonie.

Zakreśliam sobie na mapie podane miejscowości. Teren znam - miło wspomnienia z wakacyj...

- Proszę Panów - głos dowódcy eskadry jest twardy i ostry - to jest pierwsze zadanie bojowe eskadry. Obserwatorzy muszą trafić, każda bomba jest cenna. Ja prowadzę eskadrę, jestem na czele pierwszego klucza. Za mną drugi por. N., trzeci klucz por. W. W razie ataku myśliwców zwrócić się. Po zbombardowaniu klucze schodzą do lotu koszącego. Piloci strzelają z lotu nurkowego, obserwatorom i strzelcom umożliwić ogień na boki i w dół. Ostrzelać każde większe skupienie nieprzyjaciela. Jeżeli trafią w maszynę i nie będzie możliwości odejścia, zwać się na nich. W razie przymusowego lądowania, palić maszynę z całym wyekrupowaniem. Każda załoga zaopatrzy się w zapaliki. Zabrać Visy i po trzy magazynki. Panowie rozumieją, nie dać się wziąć żywcem, lepiej kula w łeb, niż niewola. Załogi do maszyn!

M ó j p i e r w s z y l o t b o j o w y

Skrwawione granice Rzeczypospolitej wzywają pomocy. Krwiożercze plemię najeźdźcy, co drogę swą znaczy dymami spalonych wsi, podąża w kierunku stolicy. Poczują pazury naszej broni. Będzie to zemsta za zbombardowanie Krakowa, Częstochowy, Warszawy i Radomia.

Zatrząskuję drzwiczki kabiny. Kurs obliczony, trasa, czas, tabelka bombardierska - wszystko w porządku. Kołujemy na start. Po drodze stoją grupy mechaników, kiwając nam rękoma.

Pierwsza czwórka już w powietrzu. Drugi klucz startuje.

- Hallo, Janek - krzyczę do pilota - uważaj na światełko przy nalocie na cel, trzymaj dobrze kurs. Nowak, patrz w locie do tyłu, mogą być Messerschmitty.

Okrągła twarz strzelca uśmiecha się aż po same okulary i kiwa potakująco.

Gotowe - start.

Trzy maszyny suną po twardym ściernisku, jak trójka złych buldogów ze spuszczoneymi łbami. Groźnie sterczą

na tylnym stanowisku wysunięte karabiny maszynowe.

Lecimy jakiś czas lotem koszącym. Przed nami dwa pierwsze klucze. Wchodzimy stopniowo na czterysta metrów. Mijamy z prawej strony Pilicę i lecimy dalej na zachód. Ludzie z dołu poznają nasze maszyny obciążone bombami. Na każdej drodze czy na polu widzę przyjazne wymachiwanie.

Nagle - Uwaga! - krzyczę do pilota. Nad nami w takim samym szyku leci piętnaście Dornierów. Mijają się dwie wrogie wyprawy.

My lecimy bombardować ich wojska, a oni nasze miasta.

W a l k a

Patrzę na zegarek. Wskazówka powoli zbliża się do 10.30. Za siedem minut powinniśmy coś zobaczyć. Jesteśmy już na 1500 m. Schodzę do kołyski na dół. Robi się chłodno. Przecieram dokładnie szybę, odbezpieczam dźwignię - patrzę w dół. Przechodzimy obok Gidel. Przed nami linie białej szosy do Radomska. Nagle - co to? Z dołu, z boku, podemną lecą ogniste iskry. Gonią jedna za drugą, mijają się, wyprzedzają mnie. Myśl szybka jak mgnienie oka - niemiecka OPL.

Maszyny nasze dostają boosta. Lecimy w niezmienionym szyku. Nagle z prawej strony białe obłoczki: jeden, drugi, trzeci, szósty. - Ładna seria - myślę sobie. Dobrze biją to działa, linia jest prosta i równoległa do naszego lotu. Niezbyt to miło w takim momencie leżeć na brzuchu w kołysce. Gdyby się jakiś pocisk zaplątał od dołu, chyba nie byłoby to przyjemne - rozważam chłodno. Ogniste, przykre punkty migają coraz gęściej przed oczyma.

Nagle maszyna kładzie się na lewe skrzydło. Cały horyzont ucieka do góry. Potem na prawo - robimy manewr. Cała trójka w ogniu kaemów i artylerii schodzi coraz niżej. Lecimy równo, kurs bojowy. Strzałka wysokościomierza stoi na 1000 m. Poprawiam odstęp muszek na celowniku bombardierskim. Teren przesuwają się po nitce celownika.

Nareszcie są. Widzę, jak szare grube cielska suną po szosie, zaś obok w porębie leśnej jakieś zgrupowania.

Podchodzą na przednią muszkę - świetnie, trochę w prawo. Poprawiam, już gotowe. Ręka obejmuje dźwignię, naciskam. Raz, dwa, trzy - lecą przyjemne ciężarki na dół.

Trzy wybuchy - trzy żółte plamy na ziemi. Między dwo-

na lejani przewrócone jakieś pudło... Lecimy dalej. Chmura ognistych pocisków sypie się za nami. Widzę jakiś mostek. Przed nim i obok rzeczki znowu większe zgrupowanie. Walę dwie bomby salwą i trzy na rozciągłość. Ogniste błyski wybuchów, skup wody, odłamki wyskakujące z chmury dymu i wreszcie kupa żelastwa.

Daję znak pilotowi. Cała trójka schodzi ostro do ziemi, jeden za drugim. Przez górne szyby kabiny widzę znowu czołgi, jakieś samochody przykryte brezentem. Pokazuję pilotowi. Maszyna kładzie się w wirażu i wali w dół - seria.

Walka wre. Zapalające pociski idą jak smugi pod płatanami maszyny. Kiwam na strzelca - teraz ny. Pilot podprowadza maszynę, z boku wychyla dolny karabin i obracam go o możliwy kąt aż do oporu w lewo. Szosa, samochody - walę cały ładownik. Wszystko miga w oczach. Jakiś przewrócony motocykl z przyczepką, obok nasze sanitarne z rannymi.

Czuję ucisk na brzuchu - to pilot wyrzuca maszynę do góry. Walę jeszcze jedną serię. Vickers pluje ogniem bez zająknięcia. Ślizgam się w dół, bo pilot znowu strzela z lotu nurkowego.

Nagle swąd spalenizny. Palimy się! Patrzę na skrzydło. Pod nami z prawej strony pali się samochód. Widzę dokładnie otwarte z obu stron drzwiczki szofera - widocznie ostatnia seria pilota zapaliła samochód. Brawo Janek! - krzyczę z radości, waląc zerwanym paskiem w jego hełm.

Odchodzimy w bok od szosy, jest zupełnie spokojnie, ani jednego pocisku obok maszyny. Po polnej drodze suną jeden tuż za drugim dwa czołgi. Są blisko przed małym laskiem. Chcę się z nimi zabawić. - Janek, w prawo! - już weszły do lasku. Przypomina mi się, że mam pod siedzeniem skrzynkę "myszek"; otwieram okienko, wydaję zameczek, czekam. Skraj lasku - wygarniam całą zawartość.

Wychodzimy wyżej, smugi dymu płaczą się po gałęziach, wreszcie grubą warstwą przesłaniają pole. Z boku widzę "Karasia", kiwa skrzydłami; to z mojego klucza. Podchodzimy do niego, kierunek na Pilicę, do domu.

W i e c z o r e m

Siedzę w wilgotnym pokoju wiejskiej szkółki przy naftowej lampie.

Przeżywam poraz drugi cały dzisiejszy dzień: powrót

na lotnisko, uradowana mina mojego mechanika, oględziny postrzelanej maszyny. Po południu drugi lot bojowy na północ od Radomska i powrót.

A teraz jestem sam, tamci już nie wrócą. Połowa stanu bojowego eskadry zginęła w pierwszym dniu. Zginął również i dowódca eskadry, a za nim, jak za wodzem, młodziutki ppor. obserwator K. Zwęglone szkielety maszyn z załogami leżą na podradomskich polach. Strata pięciu maszyn, szósta postrzelana i niezdolna do lotu - oto bilans naszej eskadry.

Serce jest jakby odrętwiałe. Nie wierzę, że Was już niema. Przecież dziś jeszcze byliśmy razem. Trudno - krew Wasza drogo była sprzedana. Czarne smoki w błękitnym polu z bombami w szponach, godko 22-giej Eskadry Krakowskiej, polecą do walki jak zawsze. Nasze skrzydła poderwą się znowu w zwartym szyku do lotu, do boju - aż do zwycięstwa.

M.A.W.



W S P O M N I E N I E

Było to pod Krakowem, dnia pierwszego września 1939.

Z rozkazu dowódcy eskadry miałem klucz w alarmie od piątej rano. Szła już jesień i świt tego dnia był ponury. Szara powłoka rzadkiej mgły, zimno i wielka wilgotność tworzyły atmosferę nieprzyjemną - ciężką.

Już od dwudziestu minut, zakuty w futro, siedziałem w maszynie. Po obu stronach, w sztucznym lesie z powtykanych w ziemię sosen, siedzieli w swoich maszynach pchr. Koczor i st. szer. Uchto, moi boczni w kluczu. By nie zasnąć po dwu prawie nieprzespanych nocach, zaważałem dyżurnego mechanika i zacząłem z nim plotkować. O wojnie światowej, w której brał udział, o maszynach, o Niemcach...

Wtem, gdzieś od zachodu, od Śląska, odczwał się cichy warkot, tak dobrze mi znanego z zasadzek z pod Wielunia i Bielska, niemieckiego silnika. Jednocześnie ukazała się na niebie coraz szybciej rosnąca kreska.

W niespełną pół minuty byliśmy w powietrzu. Szliśmy w górę, starając się prostopadłe przeciąć drogę Niemcowi. Był to He III. Szedł na Kraków na wysokości tysiąc pięćset metrów. Po chwili, mając najsilniejszą maszynę, byłem na jego wysokości, lecz niestety daleko w tyle.

Zaczął się dochodzenie. Wolno, mimo pełny gaz i boost, zdobywałem metr po metrze. Za mną w długiej linii ciągnęli moi boczni. W takiej gonitwie minęliśmy Kraków, Klaj i wzdłuż toru szliśmy w kierunku Tarnowa. Niemiec mnie dostrzegł i zaczął się ze mną bawić. Kilka razy przynikał gaz, pozwalał się trochę zbliżyć, to znowu odchodził, aż znudziła mu się zabawa i wreszcie został kropką na niebie.

Byliśmy już przed Tarnowem. Zawróciłem, zebrałem wlokących się bocznych i klnąc biednego "Pułaszczaka" szedłem do domu.

Po chwili zdala ukazały się kontury Krakowa. Wieże kościoła Mariackiego, ratusza, Sukiennice... kochane miasto.

Lecz cóż to? Z pode mnie, z prawej strony, wyskoczył

długi szeroki kres. Pierwsza myśl: bociany; nie - to samoloty. Było ich siedem, szły "skrzydłem w prawo". Patrzyłem bez wrażenia. Myśl o tym, że to samoloty niemieckie, nigdy by mi do głowy nie przyszła. To też z ciekawości raczej niż z chęci walki, zrobiłem skręt na nie, by się im przyjrzeć. Nagle wyskoczyło przede mną mnóstwo białych, cieniotkich włókien; tuż przy płatach i głowie ujrzałem białe-różowe błyski, a słuchawki pełne były nieznosnych trzasków. Spojrzałem w górę na bocznych. Wysoko nad nami szło jeszcze kilkanaście takich maszyn i snuło w dół do nas taką samą białą siatkę. Zdanie sobie sprawy, że to Niemcy, że strzelają do nas, że to już wojna i że lecą na Kraków, było dla mnie ułamkiem sekundy.

W dali widać już było lotnisko. Wiedząc o tym, że na lotnisku jest artyleria i K.M., postanowiłem odprowadzić Niemców do lotniska i odejść, nie wchodząc z nimi w ogień artylerii. Dałem znak do ataku i, mając przewagę wysokości nad idącymi lotem koszącym Niemcami, poszedłem w dół.

Jaki był wynik tej walki i jak długo ona trwała, jeszcze dzisiaj nie mogę określić. Zdawało mi się wtedy, że śnię. Skończyłem atakować tuż przed hangarami. Postanowiłem zejść ich od zachodu. Po co mną rwało się lotnisko czerwonymi kołami - ani jednego strzału artyleryjskiego. Początkowo płakać mi się chciało za moją decyzję nie walczenia nad lotniskiem, potem złość taka przyszła, że aż oczy mgłą zasłży. Straciłem na chwilę świadomość tego co robię.

Zobaczyłem w odległości około 600 m Heinkla. Nie zważając na odległość zacząłem pracować. Momentalnie jednak przyszła refleksja - przecież to bezcelowe, taka odległość. Spojrzałem w dół: pod mną moje lotnisko Balice, a na zachód od niego, na plecach, w ogniu leżała maszyna. Czerwone płomienie objęły cały przód samolotu, snując w górę długą kicę dymu. Zestrzelony Niemiec. Śmiałem się w głos z radości. Świadomość tego, że i koledzy walczą, że są już wyniki, ogromnie dodała mi ducha. Poczuję przypływ nowej energii. Chęć walki, morderstwa poprostu ogarnęła mnie zupełnie.

I Bóg pozwolił. Tuż przy ziemi ujrzałem dwa Ju-87. Szły kosząco jedna przy drugiej, wąskim jarem, w kierunku na Olkusz. Już nie kombinowałem - znalazłem się od razu na ogonie. Rzygnęły karabiny. Obok mnie pluła druga maszyna. Poznałem pchor. Gnysia. Dopadliśmy Niemców we dwójkę. Walka nie trwała długo. Przyjęły ich polskie piaski pod Olkuszem, a dwa olbrzymie słupy ognia zakończyły historię.

Z dumą i radością wracałem na lotnisko. Dowódca eskadry

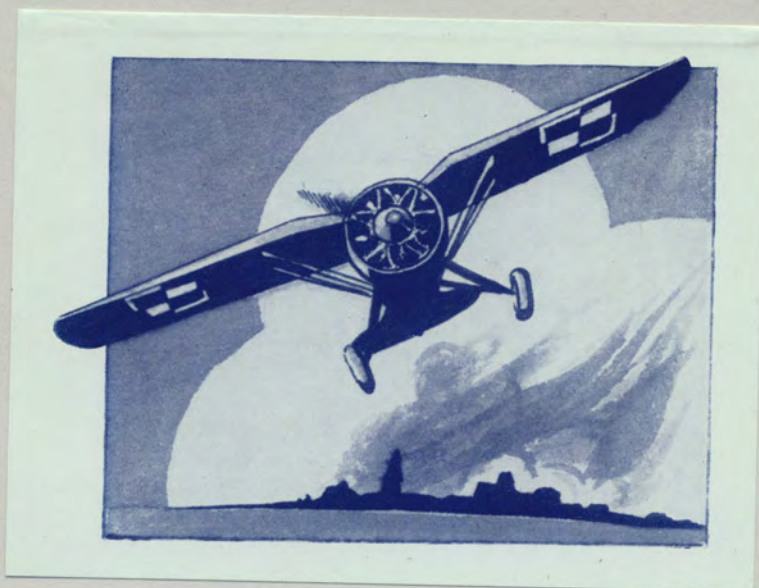
przyjął nas poważnie. Cicho, po żołniersku pogratulował nam zwycięstwa i... zemsty na mordercach dowódcy dywizjonu. Spojrzeliśmy zdziwieni na siebie, potem na niego, - patrzył w kierunku, gdzie z góry widziałem palącą się maszynę...

- Tak - rzekł - startował do walki. W pośpiechu tylko okulary założył na oczy. Został zestrzelony przy starcie przez tych, których wyście stracili.

Mieliśmy łzy w oczach.

Tak zginął śp. kpt. pil. Medwecki Mieczysław, doniedawna jeden z pierwszych lotników w Polsce, dziś pierwszy, który dał życie dla Ojczyzny.

T.K.



DZIESIĘĆ GODZIN W WARSZAWIE

① statnie wynurzenie się z chmury - powitała krótka seria smugowych pocisków. Krótka i niepewna, bo zaraz umilkła. Pięćdziesiąt metrów pod nami minął nas Henschel i łagodnym łukiem schodził na Okęcie, pełno niemieckich samolotów. My natomiast, na pełnych klapach, na łeb na szyję nurkowaliśmy ze Służewca w stronę Mokotowa. Mokotów pusty, spoglądał w niebo głębokimi dołami lejów. Cisza zupełna, nikt nie strzela. Wybrałem dróżkę między lejami i po chwili kołowałem w stronę ulicy Wawelskiej. Teraz dopiero lasok ożywił się i sypali się do nas żołnierze - na szczęście nasi, z porucznikiem technicznym z 1 pułku lotniczego na czele, któremu wszyscy, to znaczy cała załoga samolotu, zawdzięczaliśmy życie, on to bowiem rozpoznał "Suma", którego widział kilkakrotnie w fabryce w czasie prób i wstrzymał naszych, dobrze już wprawionych strzelców, od "spuszczenia" nas na ziemię.

Niemcy z okopów po drugiej stronie pola Mokotowskiego też jednak poznali swoją omyłkę i kilkoma seriami zabawnie świecących pocisków przerwali nam powitanie, wpędzając nas do okopów.

Tu rozdzieliliśmy się. Część załogi, z porucznikiem na czele, zajęła się przotaczaniem "Suma" na drugą stronę lotniska, major zaś i ja, pod opieką żołnierza, ruszyliśmy okopami do dowódcy kompanii.

Drużyny podawały nas sobie kolejno z okopu do okopu i ze schronu do schronu. Wszędzie witano nas przyjaznym uśmiechem i wzrokiem pełnym nadziei, że nasz pobyt oznacza jakąś dobrą nowinę, jakąś łączność z resztą kraju, od którego Warszawa była już kilka dni odcięta. Nastroj był dziwnie dobry, humory doskonałe, częstowano nas jedzeniem, pojono szampanem, gdyż wody już od dwóch dni nie było zupełnie.

Zanim dotarliśmy do dowódcy kompanii, ogarnęła mnie zupełna senność. Ucieczka z Bukaresztu, ciężka praca w powietrzu, zwłaszcza nad górami, emocje lądowania, widok Warszawy całej w morzu ognia, gorące powitanie szampanem, to ścięłoby z nóg każdego.

Z wielkim więc przerażeniem zobaczyłem u dowódcy kompanii w piwnicy Dyrekcji Lasów stół obficie zastawiony, a dookoła niego miłe twarzyczki młodocianych sanitariuszek, poprzepłatane nieogolonymi obliczami rannych, z których niejeden nosił turban skrwawionych bandaży. Nastroj jak w rodzinie, wszyscy sobie mówią na "ty".

Dowódca kompanii przedstawia mnie sanitariuszkom-dzieciakom, z których niejedna walczyła o imię bohaterki. Ale zamiast prowadzić mnie dalej, częstują mnie koniakiem, szynką, zagadują na różne tematy. Kilkakrotnie próbowałem roznowę skierować na sprawę zadania, które mi powierzono. Jedyłą odpowiedzią był śliczny uśmiech najbliższej dziewczyny i nowy kieliszek.

U drzwi piwnicy, z karabinami u nóg, stoi dwóch żołnierzy, którzy nie spuszczaają z nas oka. Z zewnątrz dochodzi huk szybko po sobie następujących wybuchów - to niemiecka bateria połówek zięje ogniem w miejsce, gdzie stał samolot. Teraz dopiero zrozumiałem manewr porucznika M., który wydawał mi się przesadną ostrożnością. Wreszcie huk milknie.

Po chwili wchodzi moja załoga i porucznik. Dowódca kompanii porozmawiał z nim chwilę w kącie, poczym zawołał mnie, wyciągnął z kieszeni rewolwer i rozładowując go, przeproszał, że mnie tak długo przetrzymał, ale nie był pewny mojej tożsamości. Osobista znajomość z porucznikiem wybawiła mnie znowu z przykłej sytuacji.

Teraz sprawy potoczyły się szybciej. Wszyscy razem ruszyliśmy do dowódcy odcinka. Ciemno zupełnie, tylko ponury blask dogorywających domów śródmieścia oświecał gdzieś niegdzie ponurym, rudym blaskiem szkielety domów. Pod nogami skrzypi śnieg rozbitych szyb, raz po raz powietrze jęczy świstem przelatującego pocisku i drży hukien wybuchu.

Dowódca odcinka połączył się telefonicznie z Dowództwem Obrony Warszawy i zakomunikował nam, że mamy czekać na samochód, który po nas przyjedzie w pierwszej przerwie ognia.

Skorzystałem z tego, by czym prędzej wrócić do miłej piwnicy Dyrekcji Lasów i położyć się spać w łóżku, odstąpionym przez jedną z sanitariuszek. Zabawiał ją zresztą cudownie mój strzelec, który nie tracił humoru, ani werwy.

Sen nie trwał długo - po dwudziestu minutach kazano wszystkim w pośpiechu opuścić piwnicę; Niemcy macali artylerią Dyrekcję Lasów, i piękny budynek drżał nieustan-

nie w posadach od zadawanych razów. Ktoś tam podobno dopomógł Niemcom latarką elektryczną i kilku naszych strzelców przetrząsało właśnie, nie zważając na niebezpieczeństwo, dolne piętra gmachu, chcąc przychwycić usłużnego jegomościa. Patrząc na ich zacięte usta, pomyślałem ze strachem o losie jaki mnie czekałby, gdyby porucznik nie znał mnie osobiście. Ale właśnie zajechał samochód gen. Kutrzeby, który miał nas zawieźć do Dowództwa Obrony.

Zaczęła się podróż przez miasto, które niegdyś było piękną stolicą Polski, a które obecnie przytłaczało ogromem zniszczenia, smutku i opuszczenia. Bo nie było już grozy w tych dogorywających zgliszczach, których nikt nie gasił z braku wody, ani w tych domach poprutych bombami, poszarpanych pociskami, których kontury malowały się ponuro na tle rudego blasku zadymionych pogorzeliisk.

Z całego obrazu zionęła pustka, piwniczna ciemność i straszny, niewymowny smutek, smutek porywów bohaterstwa, zniweczonych zimną, stalową przemocą brutalni, którzy oto i teraz zasypują pociskami to cmentarzysko.

Ludzi nie było widać - siedzieli w najgłębszych zakamarkach piwnicznych, chłonąc z westchnieniem ulgi huk pocisków artyleryjskich w uszy, obolałe od druzgoczącego grzmotu bomb.

Samochód wolno przedzierał się przez zwoje zerwanych przewodów elektrycznych, przetaczał się z trudem po stromych ścianach lejów, podskakiwał, na gruzach, stawał, wahał się i znowu ruszał. Im bliżej rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, tym częściej przystajemy. Jeden pocisk wybuchł tak blisko, że do dziś dziwię się, że żyję. Zdziwienie, że to wszystko nie sen, lecz rzeczywistość, straszna i nieubłagana rzeczywistość, oto jedyne uczucie, jaka ta podruż wywołała we mnie. Wreszcie stajemy o 150 m. od gmachu P.K.O. i skokami wpadamy do schronu Dowództwa.

W Dowództwie oficerowie, którzy ze mną przybyli, zameldowali się u gen. Rómmla, a mną zaopiekował się płk. artylerii. Położono mnie na pryczy w pokoju, zastawionym gęsto różnymi posłaniami.

Niedługo kazano mi pospać. Pułkownik artylerii przyniósł mi rozkaz od gen. Rómmla, który polecał mi opuścić natychmiast Warszawę i starać się dobrnąć poza granice Polski. "Jutro będzie za późno" - dodał pułkownik - "gdyż rano oczekujemy natarcia Niemców na Mokotów."

Zebrałem się "do kupy", z trudem zwalczyłem zmęcze-

nie i zaczęło się wychodzenie ze schronu. Po dwu i pół-godzinnych próbach udało nam się zapuścić samochód i ruszyć na lotnisko. W tym czasie odłamki pocisków, skierowanych w Dowództwo, raniły 40 osób.

Droga wiodła przez Marszałkowską, Rakowiecką do Alei Niepodległości - tam stała ostatnia polska barykada. Zniszczenie - straszne w śródniościu - było coraz mniejsze w miarę zbliżania się do Mokotowa. Kościół Zbawiciela jednak, z wieżami poszarpanymi i z otwartą boczną ścianą, wionął na nas takim ogromem grobowego zimna, że z radością powitałem otwarto, znajome pole Mokotowskie.

Wybór drogi do startu między lejami, uzupełnienie samolotu, dobór jednego pasażera, start po ciemku przy akompaniamencie natarcia niemieckiego, ogień skierowany na nas - długie przerywane fioletowe różańce pędzących paciorków; potem spokój pierwszego brzasku, lot, internowanie, ucieczka do Londynu - to wszystko zdarzenia szare, blade, bez znaczenia; - ważne jest tylko technienie żywego grobowca - Warszawy i nieporównany podziw dla Jego Obronców.

S.R.



PRZEZ ZIELONĄ GRANICĘ

/Opis ucieczki ze Lwowa na Węgry,
dokonanej w połowie października
1939 roku. /

Przez zieloną, rudą, czerwoną - wszystkimi barwami jesienną grającą - granicę szło nas sześciu w ową pogodną, drugą dekadę października. Kilka dni przebytych w świerkowych lasach północnych zboczy Karpat, w bukowych i mieszanych południowej strony, gdzie przemykaliśmy się ścieżkami myśliwskimi i jelenimi, sami stadku jeleni podobni, - tych kilka nocy, spędzonych pod gołym niebem, czy też pod dziurawym dachem pustej leśnej koliby, z posłaniem z cotyny pod głową a gwiazdami nad głową, zostaną nam na zawsze w pamięci, jako ożywczy powiew owych dni, jako jasna plama na szarej taśmie ówczesnej rzeczywistości.

Nie zastanawialiśmy się długo nad wyborem trasy, którą nam przejść należało. Według posiadanych przez nas wiadomości, kontrola bolszewicka w miejscowościach przygranicznych uległa w ostatnich dniach znacznemu zaostreniu. Słyszeliśmy o szeregu nieudanych prób przejścia granicy; wiadomo też było, że już w czasie jazdy koleją w stronę Rumunji i Węgier napotyka się na trudności.

Wybraliśmy więc trasę górską według zasady: maximum wysiłku przy minimum ryzyka. Ze stacji kolejowej, oddalonej o 30 km od granicy, pójdziemy górami, unikając osiedli ludzkich, i przejdziemy granicę w miejscu odległym od okolic zamieszkałych. Nie zejdziemy po tamtej stronie do najbliższej stacji kolejowej, lecz pójdziemy górami dalej, schodząc do kolci daleko w głąbi Rusi Zakarpackiej. Nie mając bowiem pewnych wiadomości co do sytuacji po stronie węgierskiej, nie będziemy się narażać na trafienie do obozu koncentracyjnego.

Dnia 14 października jechało pociągiem ze Lwowa sześciu panów, parami w różnych przedziałach. Zwykłe "miastowe" ubrania i duże walizy nadawały im wygląd solidny i nie pozwalały

się domyślać rzeczywistego celu podróży. Starannie opracowane "maskowanie" - od fikcyjnych legitymacji i zaświadczeń, stwierdzających rzekomy cel wyjazdu do miejscowości przygranicznych, aż do główek kapusty i kalafiorów, wiezionych "dla domu" i zabawek dla oczekujących jakoby dzieci, okazało się przydatne. W czasie dłuższego oczekiwania na pociąg na stacji węzłowej miejscowa milicja ma aż nadto czasu na szczegółowe wy-legitymowanie podejrzanych podróżnych. Byłem pierwszym, na którego padło czujne oko władzy, reprezentowanej przez chudego żydka z czerwoną opaską na ramieniu. Zaproszono mnie do lokalu milicji; oficer GPU bada mnie nieufnym spojrzeniem: "A wy dokąd?" Następuje krótka indagacja, której wynik nie zadawała jeszcze mojego rozmówcy; "Wasze dokumenty!" Wyciągam spreparowane przez siebie upoważnienie, uprawniające mnie do nabycia w tartaku, położonym w pobliżu granicy, drzewa dla pewnej firmy. Upoważnienie to zaopatrzone jest w pieczętkę komitetu robotniczego tej firmy. Żydek, który pełni przy oficerze rolę tłumacza, pochyla się ku niemu, szepcząc z uszanowaniem i pełnym zrozumieniem: "rabocziy komitet". Jestem zwolniony. Towarzysze moi równie szczęśliwie przechodzą tę kontrolę.

W pociągu, którym jedziemy dalej, panuje znajomy nastrój: stare, małe wagony kolejowe, oświetlone łącznie gazem i przesycone jego zapachem, mieszana polsko-ukraińsko-żydowska publika i mieszane rozmowy w trzech językach: specyficzna regionalna atmosfera. Ileż razy jeździło się tędy z nartami na kilka szczęśliwych dni w górach! Dziś też jedziemy w góry, правда, że w nieco innym celu, ale mimo zmienionych okoliczności te góry i ten nastrój w pociągu wydają mi się dziwnie swoje i bliskie.

Wychyłam się z okna, aby spojrzeć na odcinający się na nocnym niebie kontur grani dobrze znajomej góry: jutro zrana musiny być tam, na szczycie! Pociąg zbliża się do stacji; znowu wychyłam się z okna na stronę przeciwną budynkowi stacji. Tym razem patrzę w tył, na ostatni wagon, którym jadą nasi dwaj towarzysze - piloci. Zanim pociąg zdążył się zatrzymać, dwa cienie odrywają się od czarnej masy pociągu, w kilku susach przebiegają przestrzeń słabo oświetloną jedy-ną lampą stacyjną i znikają w ciemności. Odetchnąłem z ulgą: poszli! Jutro rano spotkamy się z nimi na szczycie. Nie chcieliśmy robić "ścisku", wysiadając w sześciu na jednej stacji.

Wysiadamy na następnym przystanku; milicjant, pełniący służbę na dworcu, nie sprawia sobie ani nam kłopotu indago-

waniem, czy też legitymowaniem. Przechodzimy spokojnie, nie-
co przesadnie uginając się pod ciężarem niesionych przez sie-
bie waliz.

Znajoma zagroda, położona daleko od stacji, jest naszym
punktem wypadowym. Gospodarze nie dziwią się naszym późnym
a niespodziewanym odwiedzinom, wiedzą odrazu poco przyszli-
my. Przepakowujemy tu nasze bagaże; z waliz wyciągamy ple-
caki, które po wypełnieniu niezbędnymi zapasami żywności i
ubraniem, przybierają niepokojącą wagę. Najprzykrzej odczu-
wamy obecność ciężkich płaszczy zimnych, których zwykle nie
bierze się ze sobą na wycieczki górskie, a które tym razem
trzeba będzie nieść.

Rzęsisty deszcz, który rozpoczął się z wieczora, roz-
strzygnął wątpliwość, czy mamy iść zaraz, na noc, czy też
dopiero nad ranem. Wykorzystaliśmy tych parę godzin, śpiąc
pokotem na skłonie.

O godzinie trzeciej nad ranem postawił nas na nogi ter-
kot budzika. Zarzuciwszy na raniona przygotowane z wieczora
plecaki, opuściliśmy po cichu gościnny dom, kierując się zna-
ną ścieżką ku górze. Szliśmy w milczeniu, ślizgając się na
rozmokłej drodze. Deszcz przestał padać, ale niebo zasłane
było chmurami i w lesie ciemność panowała zupełna. Nie wiem,
jakbyśmy sobie tam dali radę, gdyby nie Zygmunt. Zygmunt -
najmłodszy z naszej grupki, z pochodzenia góral zakopiański,
z zamiłowania narciarz i myśliwy, kocimi oczyma i jakimś
dziwnym - szóstym czy dziesiątym - zmysłem wyczuwał chyba ra-
czej, niż widział ścieżkę, którą prowadził nas szybko i pew-
nie. Szedł on nie dalej, niż dwa kroki przede mną, ale słu-
chem tylko kierowałem się za nim.

Co jakiś czas przystawaliśmy na chwilę, nasłuchując;
cisza panowała głęboka i tylko las szuniał zlekka. W pew-
nej chwili Zygmunt stanął jak wryty: "światło przed nami w
lesie" - szepnął. Między drzewami, w kierunku naszej drogi
błyska słabe światło - daleko, czy blisko, trudno na razie
ocenić. Idziemy ostrożnie dalej, po pewnym czasie okazało
się, że to chata, stojąca w znacznej odległości na przeciw-
ległym stoku doliny. Ścieżka nasza skręciła w lewo pozosta-
wiając światło daleko z boku i w dół.

Przy pierwszym brzasku minęliśmy grupę chałup na poło-
ninie, obchodząc je dalekim łukiem. Do szczytu wiodła
stąd prosta droga otwartym, połoninowym grzbiotem. Zadalish-
my sobie sporo trudu i nałożyliśmy niemało czasu, aby obejść

lasem niemiły dla nas, otwarty teren. Po dwóch godzinach okrążyliśmy zdala ostatnią, wielką chatę na połoninie i powyżej niej czuliśmy się już zupełnie bezpiecznie na zalesionej części grzbietu. Osady ludzkie zostały za nami, przed nami były wielkie przestrzenie pustych, lesistych gór.

W pewnej chwili Zygmunt zwrócił uwagę na świeży ślad na ścieżce. Tędy ktoś szedł niedawno - ilu ludzi, jeden, dwóch czy trzech, trudno orzec; byliśmy przekonani, że to nasi towarzysze, którzy nieli tu dojść inną drogą, ale wszelki ślad człowieka mimowoli nastrojał nas na największą ostrożność.

Szliśmy w zupełnej ciszy, stąpając ostrożnie. Nagle, z odległości nie więcej niż kilkudziesięciu metrów doszedł nas lekki, ale wyraźny odgłos - stuknięcie łaską o kamień? Schowaliśmy się w krzaki obok ścieżki - minęło kilka minut - spokój. No, nie bądźmy śmieszni, to nasi towarzysze idą przed nami, nie będziemy się przecież bawić z nimi w ciu-ciu-babkę.

Ruszyliśmy znowu ku górze. Zygmunt, który szedł przodem, zatrzymał się nagle i zawrócił ku nam, biegnąc na palcach: "są blisko ze strzelbami". Las był tu rzadki i tylko grupa krzaków przy ścieżce dawała możliwość ukrycia się. Przypadliśmy za tymi krzakami w porę, bo oto tamci idą ścieżką w dół, ku nam. Czterech - mają strzelby - raubszyce - ale dwaj wyglądają jakby w mundurach bolszewickich. Grupa krzaków, za którą siedzieliśmy była nieduża, tak, że w miarę jak tamci zbliżali się i mijali ją trzeba było przesuwąć się z nimi w "chowanego". Nagle pod jednym z nas zatrzeszczała sucha gałąź. "Tamci" stanęli. Wstrzymaliśmy oddech - upłynęły długie minuty ciszy, jedna i druga. "Tamci" odeszli w dół tak cicho, że z odległości zaledwo kilku metrów nie słyszeliśmy ich kroków. Widocznie i oni woleli w niepewnych wojennych czasach nie spotykać nieznanych ludzi w lesie. Równie cicho poszliśmy i my ścieżką, wiedzącą dalej w górę.

Dochodzimy do szczytu: znane bloki "Gorganu", samotne limby, wiatr na grani i "trianguł". Poniżej szczytu w kosówce zasiadamy do śniadania wypatrując, czy nie nadejdą nasi towarzysze. Umówiona godzina dawno już minęła, a ich ciągle niema. A może natknęli się na tych czterech ze strzelbami? Wreszcie w godzinę przeszło po naszym przyjsciu ukazały się na grani podszczytowej dwie postacie - to oni. Idą szybko - pędzą po głazach, chcąc nadrobić spóźnienie i uniknąć ewentualności dalszego marszu we dwóch. Tu, w górach, raczej będzie większą kupą, radzi więc jesteśmy, że "koncen-

tracja na szczycie udała się tak dobrze.

Zejście z naszej góry - nazwijmy ją Pierwszą - wprowadziło nas w pustą i odległą okolicę, na długi grzbiet łączący górę Pierwszą z Drugą, gdzie wielkie połacie lasu przeplatają się z równie wielkimi, starymi zrębami. Tu idziemy nieco swobodniej, stale jednak zachowując ciszę i bacznie nasłuchując. Mijamy opuszczoną stację na przełęczy, upewniwszy się wpierw, czy nie jest przypadkiem zamieszкана i "dy-lowanką", pamiętającą jeszcze czasy wielkiej wojny, a potem wysokim, starym lasem, podchodzimy pod zbocze góry Drugiej. Tu na granicy lasu i kosodrzewiny, u stóp wypatrzonej uprzednio "przecinki" w kosówce, szukujemy nocleg. We wspaniałych naturalnych altanach, utworzonych przez zwisające nisko gałęzie smreków, na materacu żywych mchów, ułożyliśmy posłanie z cetyny. Czuliśmy się zupełnie bezpiecznie w tym ustronnym zakątku ogromnych borów. Patrząc poprzez gałęzie na gwiazdy przebłykujące między murami i słuchając głębokiego poszumu drzew, usnęliśmy strudzeni całodziennym marszem.

Wśród ciemnej nocy o godz. 3.30 wyruszyliśmy w dalszą drogę dnia następnego. Stomą, w kosówce wyciętą linią szliśmy po omacku w górę, czepiając się gałęzi kosodrzewiny i zapadając w miękkich poduchach mchu. W krótkich chwilach odpoczynku spoglądaliśmy poza siebie: las pozostał w dole, a z poza grzbietu góry Pierwszej, który był teraz już poniżej nas, wyłoniły się daleko w dolinie światła osad ludzkich.

Poświsty wiatru nad nami i porywiste podmuchy, tarmoszące łanem kosodrzewiny, zwiastowały po godzinie marszu bliskość grani. Zaczynało już szarzeć, kiedy sześć ciemnych postaci pomykało granią w kierunku zachodnim. Dzień się robił pochmurny i mglisty - dobry dla nas.

W pierwszym świetle wstającego dnia bystre oko Zygmunta dostrzegło znów ślady stóp ludzkich na wilgotnym odcinku ścieżki. "Zabawa w Indian" zaczęła się na nowo. "Tędy szli, w tę stronę co i my. Ślady świeże niedawniej niż z wczoraj; było dwóch."

Kto to mógł być? Tacy jak my, czy może patrol bolszewicki? A może Huculi, o których opowiadał nam ktoś, że na usługach bolszewików łowią w górach przechodzących przez zieloną granicę.

Jasno już było, kiedy natknęliśmy się niespodzianie na ślady obozu: garnuszek wypełniony masłem, obok kawał gazety.

Ktoś spał tu dziś w nocy, zapewne ci śni, co szli przed nami. Kto to był? Gazeta jest polska, ale w każdym sklepie mogli ją dać, jako papier pakunkowy: a opakowanie nasła - liść kapusty owiązany sznurkiem na garnuszku - wskazywałoby raczej na Hucuła.

Nastrój "indyjski" potęguje się z chwilą, gdy poniżej obozu spotykamy ślady całkiem świeże, bezwątpienia dzisiejsze. W zupełnej ciszy - na palcach - wchodzimy w las, gotowi w każdej chwili unknąć ze ścieżki w bok. Nagle Zygmunt staje, podobny do wyżła, wystawiającego zwierzyńkę. Powoli, ostrożnie, obraca się ku mnie i gestem wzywa do siebie. Podchodzę na palcach.

- "Tam za drzewem stoi człowiek" - mówi Zygmunt. "Taki sam, jak my, widzisz plecak i koc?"

Rzeczywiście, widzę wystający z za pnia plecak, z przytroczonym do niego kocem, zwisającym w bok. Tętent ma chyba większego stracha, niż my! Przytulił się do drzewa i ani drgnie. Ależ ten Zygmunt ma oczy! Ja - nawet gdybym go spostrzegł - byłbym pewien, że to taki nierogulany pień. Naradzamy się szeptem; nicma sensu tak czekać, trzeba otwarcie podejść i zaproponować nieznajomemu z za drzewa wspólną drogę dalej.

Ruszamy w stronę tego drzewa i nagle zaczynamy dusić się ze śmiechu. To właśnie był pień! Pień, dziwacznie wykręcony w pętlę ku dołowi, naśladujący do złudzenia kształt koca zwiniętego w rulon i zwisającego z plecaka.

Dalsza nasza droga wiodła szlakiem turystycznym, wygodną, znakowaną ścieżką. Ze względu na bliskość schroniska turystycznego, w którym mogła się znajdować placówka straży granicznej bolszewickiej, oraz ze względu na wysoko znajdujące się chaty wioski górskiej, nie czuliśmy się tu zbyt pewnie. W miejscach otwartych opuszczaliśmy ścieżkę, obchodząc miejsca te lasem. Ostrożności te nie były zresztą - jak się później okazało - przesadne. Kilku wędrowców przez zieloną granicę, idących w dwa dni po nas tym samym szlakiem, dostało się w ręce bolszewików i tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało im się unknąć z chlewu w owej wiosce górskiej, w którym zanknięto ich w braku lepszego aresztu.

Minęliśmy wreszcie tę "strefę niebezpieczną" i weszliśmy na długi grzbiet górski, pokryty gęstym, dzikim lasem. Nikła ścieżyna wiodła nas borem, pełnym zwałonych, spróchniałych i mchem porośniętych pni, prowadziła nas poprzez

polany, porosłe bujną, po piersi sięgającą trawą; miejscami szliśmy sznurem niepewnych, z oślizgłych dyli skleconych kładek poprzez bagienne trzęsawiska. Raz weszliśmy niespodzianie na małą polankę, pokrytą wysoką, gęstą trawą, dziwnie zdeptaną i wygniecioną - rykowisko jeleni. W tych lasach, pełnych jeleni, ślad człowieka na szlaku naszym był rzadkością i wzbudzał w nas czujność, śladów jelenich było pełno i one napawały nas zaufaniem, świadcząc, jak odludne są te miejsca.

W pewnym miejscu, na słońcem zalanej polance, zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Leżąc na kępach suchej, żółtej, jesiennej trawy, patrzyliśmy na bliską już granicę. Czy jest ona strzeżona? Trzy wielkie chaty na otwartym, poło-
ninym grzbiecie granicznym, na wybranym przez nas placu, nie wyglądały zachęcająco. Wprawdzie nie mogliśmy dostrzec koło chat nikogo, mimo to jednak postanowiliśmy, nakładając jeszcze kilka kilometrów drogi i paręset metrów podejścia, obejść te chaty na zachód i przejść na Węgry w miejscu, gdzie las podchodził wysoko do samej granicy.

Musieliśmy w tym celu przebyć kawał drogi grzbietem, równoległym do granicy i zszedłszy w dół, przekroczyć w poprzek dolinę, dzielącą nas od grzbietu granicznego. Percią, wydeptaną przez jelenie, schodzącą do wody, doszliśmy do dna doliny i zatrzymaliśmy się tu zaskoczeni niezwykle widokiem: dnem doliny biegła porządna, bita droga, a wzdłuż niej stały słupy linii telefonicznej.

Ten zwykły, banalny niemal ślad działalności cywilizacyjnej człowieka, ślad niespodziewany, bo nasza stara napa nie podawała w tym miejscu żadnej drogi, wydał się nam wrogi i groźny. Wszak drogą mogą chodzić patrole; wszak telefonem można zawiadomić placówkę w najbliższej wiosce, garnizon w mieście powiatowym, ba - dowództwo okręgu w mieście wojewódzkim, że oto sześciu podejrzanych osobników zamierza nielegalnie przekroczyć granicę Zachodniej Ukrainy!

Ostrożnie wychylił Zygmunt głowę z krzaków, obejrzał się w obie strony i krok za krokiem, powoli wyszedł na środek drogi. Dał znak - ruszyliśmy zwartą grupą i przez znajdujący się w tym miejscu mostek przeszliśmy na drugą stronę potoku. Tu wniknęliśmy w las.

Pozostawało stąd jeszcze 350 m. podejścia na grzbiet graniczny. Wieczór się zbliżał, należało się spieszyć, żeby przed zapadnięciem ciemności znaleźć drogę w lesie i przy resztkach światła dnia przekroczyć granicę. Gdyby las był

gęsty a ścieżki nie było, mogliśmy być zmuszeni do nocowania w lesie po tej stronie granicy. Szczęście nam jednak sprzyjało: znaleźliśmy wygodną ścieżynę, którą szybko wznosiliśmy się ku górze.

Nagle zaszła rzecz niespodziewana i tak okropna, że pot kroplisty oblałby nas, gdybyśmy wskutek ostrego narszu dawno już nie byli mokrzy od potu. Oto niespodzianie, z odległości kilkudziesięciu kroków, ozwało się szczekanie: natknęliśmy się na patrol graniczny z psem! Więc wszystko na nie! Przegrywamy, będąc tak blisko celu. Uciekać? Już za późno, szczekanie było tak bliskie. Staliśmy jak przykuci - może pies nas nie zauważy?

Ale cóż to? Zygmunt stoi spokojnie i śmieje się z nas.

- "To był jeleń", oświadcza nasz przyjaciel wesoło. Z uczuciem wielkiej ulgi idziemy dalej, trochę zawstydzeni a trochę ubawieni naszą pomyłką. Do granicy już niedaleko, między drzewami prześwieca jasna płachta nieba. Krok za krokiem w zupełnej niemal już ciemności dochodzimy do ostatnich drzew i zatrzymujemy się przy nich.

Jesteśmy tuż przy granicy. Wokół cisza i tylko co jakiś czas podmuch wiatru przechodzi nad lasem jak potężne westchnienie. Siedzimy w głębokim milczeniu, pogrążeni w myślach; więc za chwilę będziemy na "tantej" stronie jako emigranci, wygnanci z ziemi ojczystej. Czy wrócimy do kraju i kiedy? Czy zobaczymy jeszcze kiedy bliskich, którzy tam zostali?

Granicą biegnie ogrodzenie z drutu koleczastego, nietrudne do przejścia. Przekroczywszy je schodzimy połoniną w dół i w kilka minut jesteśmy w lesie, w którym po omacku wyszukujemy drogę.

Zatrzymujemy się na chwilę: więc to już "tanta" strona! Udało się! Dla wszystkich nas jest to udana pierwsza część wędrowki "do ziemi cudzej", dla dwóch z nas jest to coś więcej jeszcze - udana ucieczka z niewoli.

Wśród lekko mżącego deszczu układamy się do snu na trawę porośłą zrzębic, przygotowując się na nokną noc. Szczęście jednak groźnie wyglądające chmury deszczowe rozchodzą się i tę drugą noc z rzędu śpimy znowu spokojnie pod gołym niebem.

Następnego dnia - trzeciego dnia wędrowki - zeszliśmy

do doliny i tu nastąpił rozdział naszej grupki: dwaj piloci powędrowali drogą do najbliższej stacji kolejowej, zaś czterech nas poszło dalej górą, ustalonym poprzednio szlakiem, częścią dlatego, aby zejść do ludzi dalej od granicy, w głębi kraju, "co okazało się zbyt dużą ostrożnością", częścią zaś, żeby jeszcze te dwa dni spędzić w górach, nacieszyć się złotą jesienią i przedłużyć okres, w którym - oderwani od życia miejskiego - mogliśmy zapomnieć choć czasowo o wydarzeniach ostatnich tygodni.

W programie trzeciego dnia wędrówki leżało przejście przez górę, która kształtem słyn przypomina wachlarz: kilkanaście grzbietów, przedzielonych między sobą potokami, rozchodzi się z wierzchołka na wszystkie strony. Łagodną linią spływają ze szczytu granie, ostro wcinają się między nie dory potoków, a wszystko przykrywa ogromny, zwarty kożuch lasów. Jedną z tych wielu grani wiedła nasza droga do szczytu, inny grzbiet miał nas sprowadzić w dół po przeciwnej stronie. Pod szczytem na połoninie napotkaliśmy staję pasterskie: nie kilka szałasów, jakie zwykle spotkać można na halach po naszej stronie, ale całą wieś chat i zagród, pustą obecnie i martwą.

Schodzimy w dół: niewyraźna ścieżyna rozdziela się na kilka, potem niknie. Idziemy dalej naprzecią szlakami jeleni, utrzymując ogólny kierunek według kompasu. Niżej łapiemy ścieżkę - potem linię leśną - znów ścieżkę, schodzimy szybko, zbiegamy, ale cóż to? Ścieżka skręca w bok, zaczyna trawersować i wreszcie zawraca ku górze. Opuszczamy ją i przez dziki las, poprzez zwalone pnie, dążymy w poprzednim kierunku.

Trafiamy tak na niedużą polankę, u zbiegu dwóch potoków, na której stoi mała, z nieociosanych pni sklecona, koliba myśliwska. Stoi w dziwnie mało uczęszczanym ostępie, bo doszliśmy z góry bezdrożem, a i zdołu wiedzie do niej ledwo widoczny ślad perci. Bez długich namysłów decydujemy się na nocleg tutaj, choć wcześniej jest jeszcze. Mieć w nocy dach nad głową! Zapalić ognisko, zjeść coś ciepłego - to był dla nas wtedy szczyt komfortu. Mycie się w strumyku i golenie dopełniło bogatego programu tego wieczora.

Ogień buchał wesoło, dym gryzał w oczy, a czterech czujących się jak króle młodych ludzi leżało na wspaniałym posłaniu z cetyny, pod krytą korą daszkiem koliby, na małej polance, gdzieś, pośród ogromnych przestrzeni górskich lasów. I tylko książyc patrzył na to nawpół otwartym, zanglo-nym ślepem.

Następny dzień spędziliśmy na gołych trawiastych grzbie-
tach, wysoko nad granicą lasu. Jedliśmy śniadanie przy źró-
dłku koło opuszczonych staj, zrywaliśmy zwarzone jesiennym
nrozem brusznice, odpoczywaliśmy nad małym norenowym jezior-
kiem, wysoko na grzbiecie górskim. I wędrowaliśmy dziesiątki
kilometrów drogą, wijącą się ze szczytu na szczyt ponad kot-
łami lodowcowymi.

Cały dzień wiał silny wiatr, z którym musieliśmy walczyć,
zato pogodne niebo pozwalało na szeroki widok na wszystkie
strony. Patrzyliśmy wtył za siebie na drogę przebytą w ciągu
ostatnich trzech dni; patrzyliśmy na dalekie pasma Karpat,
dobrze znane z wielu wycieczek narciarskich; patrzyliśmy
wreszcie przed siebie, w głąb Rusi Zakarpackiej, którą wiod-
ła nasza droga ku Zachodowi. Było łagodne, jesienne światło
i wiele, wiele powietrza; tyle powietrza, że nie mogąc po-
nieścić się w tej przestrzeni, buchało z niej i przewalało
się przez gran równym, silnym technieniem wichru.

Zbocza gór pokryte były poniżej nas lasami bukowymi we
wspaniałej jesiennej szacie. Kuliste korony drzew wyglada-
ły jak kłębuszki waty, barwionej na różne ciepłe kolory, na-
klejone na zielonych nakietach gór. Na górnej granicy ta-
kiego lasu, na posłaniu z liści bukowych urządziliśmy czwar-
ty i ostatni nocleg naszej górskiej wędrówki. Na małym o-
gienku gotowała się kawa, a cienie czterech siedzących przy
watrze postaci tańczyły po pniach pobliskich drzew.

Rankiem zeszliśmy do doliny: długie, strone zejście
1200 m. wysokości. Waluta węgierska, w którą zaopatrzyliśmy
się jeszcze we Lwowie - nie darmo jeden z nas był bankowcem! -
umożliwiła nam kupno biletów kolejowych bez trudności, ani
zwracania na nas uwagi. Wieczór dojechaliśmy do miejscowości,
w której mieliśmy się spotkać z naszymi przyjaciółmi -
pilotami. Zajechawszy pod podany adres, dowiedzieliśmy
się, że owszem przyjechali tu już wczoraj, ale obecnie są
obok u sąsiada, gdzie właśnie odbywa się święto winobrania.

Idziemy tam: do sąsiada jest paręset metrów dróżką
wśród winnic. Zdaleka już dochodzą odgłosy muzyki i widać
światła lamp, rozjaśniających podwórze folwarku. Tuż pa-
robków i dziewczek tańczy, śpiewa, rozprawia, a nad wszystkim
unoszą się zapach wina. W ogrodzie siedzi w altanie grupka
" gości honorowych " i tu znajdujemy naszych przyjaciół.

W ten sposób zakończyliśmy naszą wędrówkę górską i w
ten sposób witamy gościnne Węgry wychodźców z Polski.

J.Z.B.

WSPOMNIENIE O ŚP. INŻ. ADAMIE KARPIŃSKIM

Adam Karpiński, por. rez., inż. lotniczy, jeden z pionierów lotnictwa polskiego, wybitny alpinista polski, zginął dnia 19.7.1939, w czasie Polskiej Wyprawy Himalajskiej, której był kierownikiem.

"Istota alpinizmu polega na walce, na pokonywaniu trudności i przeciwności".

"Spotykamy się z walką na każdym niemal kroku..."

"... bo natężenie tego wysiłku bywa tam posunięte do granic ludzkiej możliwości, no i stawka w walce jest wysoka, bo o życie."

Osoba śp. Adama Karpińskiego i powyższe słowa autora wyjęte ze "Wspomnienia...", sądzymy, usprawiedliwią w zupełności umieszczenie tej pracy w naszej lotniczej "Jednodniówce".

Wystarczy na miejsce słowa "alpinizm" wstawić "lotnictwo" - a trudno będzie o lepsze scharakteryzowanie istoty służby w powietrzu.

Zapadając się po kolana w świeżym puchu, brniemy ku górze w tępy zapamiętaniu. W głowie pustka i obojętność na wszystko - i tylko tłucze się i kołacze jakaś melodia, kilka bezsensownych taktów, które uczepiły się mnie uparcie i w rytm których idę.

Idę? Nie, stoję przecież, stoję w miejscu, dysząc ciężko: wdech - wydech, wdech - wydech, wdech - wydech, wdech - teraz chwila wysiłku, desperackie skupienie woli - wyciągam nogę tkwiącą głęboko w śniegu, unoszę ją ku górze i wraz z następnym oddechem stawiam ją tak wysoko, jak tylko nogę. Obciążam nogę, która zapada się od razu głęboko w śnieg i znów stoję i dmuszę ciężko. Za chwilę nowy wysiłek i druga noga, wyrwana z okuwających ją więzów śniegu dźwiga się ku

górze, a melodia, kołacząca ni po głowie, urywa się i zaczyna znów od początku.

O kilkanaście kroków za mną idzie Adam Karpiński. Wiem, że jest niezdrowszy i daleko mu do pełnej "forny", on wie o tym równie dobrze, ale ambicja i wola działania nie pozwalają mu przyznać się do tego. Z pogodnym uśmiechem odpowiedział przecież przecząco na moje pytanie przed wynarszem.

Był to chyba najcięższy dzień z całej wyprawy - dzień najwyższego wysiłku i ciężkiej, zawziętej roboty. Robota nie przydała się na nic, bo na wysokości prawie 7000 m zmusił nas do odwrótu huraganowy wichur, miotający pyłem śnieżnym. Wysiłek zjadł resztę niewyczerpanego jeszcze dotąd zapasu sił Adama. Widziałem to wyraźnie, ale on milczał i dopiero w dwa dni później - w obozie II, - dokąd zeszedłszy dla przetrzymania okresu niepogody, oświadczył mi: "Wiesz, bardzo źle czułem się w czasie zejścia; parę razy było tak źle, że byłem bliski upadku i myślałem, że nie ruszę się więcej. Boję się, czy to nie osłabienie mięśnia sercowego."

Następnego dnia zdecydował się Adam zejść do Bazy. Decyzja ta kosztowała go wiele. Wyprawa w Himalaje była jego narzeniem od wielu, wielu lat. Całe jego dwudziestopięcioletnie chodzenie po górach - w Tatrach, które schodził i poznał tak dokładnie, jak nóż kto, - w Alpach, gdzie odbył wiele wypraw zimowych i letnich, - nawet w Andach, najwyższych poza azjatyckimi górach na świecie, - wszystko to było właściwie przygotowaniem, trenowaniem do Wyprawy w Himalaje.

W organizację tej Wyprawy włożył wiele starań; później, w pierwszym okresie działań na samej Górze był najczynniejszym z nas wszystkich, a teraz, już tak blisko celu musiał zrezygnować i zawrócić. Po zejściu do Bazy lekarz stwierdził u niego tropikalną odmianę desynterii, której nabawił się jeszcze w czasie pobytu na nizinach.

Choć nie danym mu było stanąć na szczycie Nanda Devi Wschodniej, był jej zdobywcą, tak samo, jak ci członkowie zespołu, którzy kontynuując jego pracę, dotarli do najwyższego punktu.

W trzy tygodnie później, Adam, przyszedł już do siebie i brał znowu czynny udział w akcji nad lodowcem Milan. Żegnaliśmy go w obozie II, skąd wyruszał w górę z towarzyszeniem kilku tragarzami dla założenia następnego obozu. Żegnaliśmy go okrzykami "do jutra!" Jutro nieliśmy się spotkać z nim w tamtym obozie, a w ciągu paru dalszych dni spodziewaliśmy się stanąć na szczycie Trisulinowym, na którym -

mieliśmy nadzieję - i Adamowi teraz się poszczęści.

Rzeczywistość okazała się inna - tego "jutra" nigdy już Adam i jego towarzysz nie mieli oglądać. Lawina, która zasyłała w nocy ich obóz, zbudowała im grobowiec potężniejszy i wspanialszy, niż ręka ludzka zbudować potrafi. Zostali na zawsze, w tym dalekim i trudno dostępnym zakątku tego świata, wśród potężnych gór, wspaniałych lodowców i wiecznych śniegów, które ukochali tak bardzo.

Nieraz trafiało mi się spotkać ludzi, którzy mówili: "No dobrze, ale poco to wszystko, poco narażać życia ludzkie dla zadowolenia ambicji stanięcia na niezdożytym dotąd szczycie. Przecież nikt żadnego pożytku z tego mieć nie będzie".

Jeżeli będziemy brać rzeczy z punktu widzenia materialnego utylitaryzmu, to rzeczywiście nikomu z odkrycia nowej komety, czy z napisania symfonii nic nie przyjdzie.

A jednak, tak samo, jak odkrycie komety stwarza pewne wartości naukowe, napisanie symfonii - wartości artystyczne, tak samo i zdobycie góry stwarza pewne wartości abstrakcyjne, dla których określenia brak może odpowiedniego przymiotnika, ale które bezsprzecznie istnieją.

Istota alpinizmu polega na walce, na pokonywaniu trudności i przeciwności.



Z walką spotykamy się na każdym niemal kroku w życiu codziennym i jest ona życiową potrzebą człowieka. Ale nigdzie chyba nie występuje ona w tak czystej formie, jak w alpinizmie. Bo w alpinizmie mamy wysiłek i zwalczanie trudności nie dla jakichś celów, ale dla samej walki; bo natężenie tego wysiłku bywa tam posunięte do granic ludzkiej możliwości, no i stawka w walce jest wysoka, bo o życie.

Więc dopóki istnieć będą ludzie tacy, jak śp. Adam Karpiński, ludzie posiadający tę pierwotną potrzebę walczenia i dawania z siebie wysiłku, dopóki istnieć będzie idealizm, nakazujący lekceważyć korzyści materialne a nawet i życie dla pewnych rzeczy "abstrakcyjnych" tak długo takie wyprawy będą istnieć i tak długo one będą miały swój sens.

J.Z.B.

PIERWSZY DZIEŃ POBYTU W ANGLII

A więc jednak. Za chwilę dostanę mundur. Dziela nas na grupki po dziesięciu - idziemy. Naprzód lekarz: puka - słucha, puka nie słucha; bije - słucha, nie bije nie słucha. Każe kleknąć, liczyć do trzech, zagląda w zęby, w oczy, w uszy. Pyta, czy mój tato miał odrę a wujek ospę. Ilu lat dożyła ciocia itd. Nudna i długa historia.

Wreszcie mundury. Olbrzymi magazyn, pełen nowiutkich wspaniałych mundurów. Stoję oczarowany. Zaczyna się dobieranie. Wpierw płaszcz. Kurczę się, prężę, Wyginam, przysiadam. Przy pomocy gwałtownej a rozpaczliwej gestykulacji staram się wytłumaczyć kapralowi angielskiemu, że ten płaszcz jest troszeczkę za krótki, bo sięga tylko po biodro, ten za długi, bo po ziemi się włóczy, ten za wąski, bo dopiero czterech energicznych podoficerów zapina go na mnie. Płaszcze płyną jakby rwący strumień. Wreszcie jest coś wspaniałego: z przodu wyglądam jak Mars, z tyłu jak Wenus. Kapral uśmiecha się, klepie mnie po ramieniu, coś mówi po angielsku. Niestety - nie rozumiem mowy; rozumiem tylko treść. Wiem, że wyglądam "pierwsza klasa". Pytam kolegów. Pierwszy z brzegu mnie zapewnia, że jak zostanę marszałkiem, to nawet nie będę potrzebował zmieniać płaszcza. To napełnia mnie dumą.

Dostają dwie pary nowych butów. Próbuje naprzód prawy na prawą nogę, potem lewy na lewą, wreszcie – na wszelki wypadek – lewy but na prawą nogę i prawy na lewą. Wszystko razem leży jak ulane, bez żadnej różnicy.

Wreszcie spodnie. Chyba nigdy nikt nie wyobrażał sobie, że mogą być tak wąskie spodnie. Prostu nie spodnie, tylko zaprasowana nitka z dziurą w środku. Do tej dziury wkłada się nogę i stara się przy pomocy szarpnięć przepchnąć ją na drugą stronę. O ile te skomplikowane ruchy doprowadzą do pożądanego celu, spodnie zostają na wieki wieków na właścicielu. O ile nie, kapral z widocznym wstrętem spogląda na petenta i daje drugie, jeszcze węższe. Teraz sama grzeczność nakazuje nie odmawiać. Staram się wytłomaczyć kapralowi, że spodnie cisną mnie pod pachami. Nic nie pomaga. Ze strasznym uczuciem biorę w ręce parę spodni, rychło jednak pocieszam się drugą parą, już całkiem normalną.

Wreszcie czapka. Jedna za wielka, druga za mała, trzecia za wąska. Ta spada na uszy, ta znów tylko na czubku głowy siedzi. Rozgniewany kapral z siłą tysiąc-konnego silnika wciska mi na głowę pierwszą – lepszą czapkę, rycząc "very good". Nie mogę odmówić tak miłej propozycji.

Zaraz po wyjściu doskonałą czapkę zwiewa mi pierwszy lekki podmuch wiatru. W pogoni za nią gubię parę spodni, ręcznik i jedną z siedmiu szczoteczek. Jakaś pocziwa dusza, obarczona nadmiarem dóbr doczesnych w rodzaju szczoteczek, mydeł, butów i t.d., łapie mi ją i usłużnie zwraca.

Idę dalej, w jednej ręce trzy szczotki, w drugiej dwie. Z boku zwiesza mi się jakiś tajemniczy sprzęt, wyczyniający dziwne harce. Raz jest z przodu, drugi raz z boku, potem z tyłu, wreszcie znowu z przodu. Nie wiem, co mam o tym sądzić i jak sprzed ów przytrzymać. Z dala dochodzi głos: "Na miłość Boską, co Pan robi z maską gazową". Odetchnąłem. A więc to maska przeciwgazowa, a ja myślałem, że to kieszonkowy bombowiec.

Kąpiel, potem przebranie się w nowe mundury. Przedemną leży stare ubranie, wierny towarzysz całej drogi, tyłu zmar-twień, tyłu rozwianych złudzeń, ucieczek z rąk żandarmów i siedziby Gestapo. Ogarnia mnie dziwne rozrzewnienie. Wyjmuję z kieszeni kolejno scyzoryk, nabyty w Rumunji, chusteczkę z Grecji, grzebień z Syrii, lusterko z Francji. Równie rozmyślania przerywa wyśmienita kolacja. W niemożliwy sposób opycham się jamem z chlebem, a nie chlebem z jamem. Nie zwracam nawet uwagi na dobrotliwe i wyrozumiałe uśmiechnięte twarze kucharzy angielskich. Wreszcie sen, oddawna pierwszy zdrowy sen.